Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Gołębiarz (Astur palumbarius) z upolowaną wroną. Fotografja z serji odznaczonej złotym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego". Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 34 (735) 1 GRUDNIA 1933 R.



Jelenie przy paśniku w zwierzyńcu dóbr Kock. Fot. J. hr. Żółtowski.

Wynik łowieckiego konkursu fotograficznego.

W roku bieżącym ogłoszony przez naszą redakcję łowiecki konkurs fotograficzny dał mniej liczny, niż lat ubiegłych, lecz o wiele cenniejszy materjał do oceny.

Z przyjemnością stwierdzamy, że wśród nadesłanych 160 fotografij około 70⁰/₀ nadaje się do reprodukcji zarówno pod względem doboru tematu, jak i wykonania, a liczny jest szereg prawdziwie artystycznych i niezmiernie ciekawych zdjęć żywej zwierzyny i wspaniałych krajobrazów.

Oceniając wybitny plon konkursu, jury postanowiło, niezależnie od objętych warunkami konkursowemi nagród za najlepsze poszczególne fotografje, przyznać nadto odznaczenia honorowe w postaci żetonów: złotego, srebrnego i bronzowego — za grupy zdjęć.

Wynik głosowania, w którem brało udział 17-tu członków Komitetu Redakcyjnego, stanowiącego jury, był następujący:

NAGRODZONO FOTOGRAFJE:

I nagroda (zł. 100—) za fotografję, opatrzoną godłem „H. M." (ś. p. H. Mikolasz), przedstawiającą klucz gęsi;

II nagroda (aparat fotograficzny firmy „Kodak") za fotografję, opatrzoną godłem „Gryf" (nadleśniczy Jurkiewicz, Rafajłowa), przedstawiającą niedźwiedzia, wychodzącego z gawry;

III nagroda (zł. 25.— i roczna prenumerata „Łowca Polskiego") — za fotografję, opatrzoną godłem „Rysie" (p. inż. W. Gordziałkowski, Lwów, Tarnowskiego Nr. 59), przedstawiającą 2 rysie;

IV nagroda (roczna prenumerata „Łowca Polskiego")—za fotografję, opatrzoną godłem „Jedlnia" (p. J. Bończa-Markowski, Radom, Piłsudskiego 6), przedstawiającą tokującego cietrzewia;

V nagroda (półroczna prenumerata „Łowca Polskiego") — za fotografję, opatrzoną godłem „W. P." (p. W. Puchalski, Lwów. Nabielaka 49), przedstawiającą pajęczynę na trzcinie, na tle pięknego krajobrazu.

ODZNACZONO GRUPY:

I. Żeton złoty za serję zdjęć, opatrzoną godłem „W. P.", której autorem okazał się p. Włodzimierz Puchalski, Lwów, Nabielaka 49.

II. Żeton srebrny za serję zdjęć, opatrzoną godłem „H. M.", której autorem okazał się ś. p. H. Mikolasz, a którą nadesłała p. Mikolaszowa.

III. Żeton bronzowy za serję zdjęć, opatrzoną godłem „Ryś", której autorem okazał się p. Edmund Kossecki, leśniczy w Karbowie, p. Brodnica.

PASTUCHY.

Obok kwestji kłusowniczej i katastrofalnego rozwoju wnykarstwa, które to niebezpieczeństwa tak żywo interesują świat łowiecki, jest jeszcze jedna kardynalna bolączka, nad którą warto się zastanowić.

Mianowicie nie można zapominać o zacnej konfraterni rozmaitego kalibru poczciwych, wiejskich pastuszków.

Do tej grupy szkodników łowieckich należą nietylko *de facto* dozorujący wypasu „tatusiowego" bydełka, ale wogóle cała dzieciarnia i podrastająca młodzież wiejska.

Podczas gdy w stolicy i wielkich miastach toczą się mądre i uczone konferencje, uchwalane są zbawienne „rezolucje" przeróżnych zjazdów ochrony przyrody i nauczycielskich — piszą sążniste artykuły na szpaltach prasy fachowej — niekiedy nawet, choć rzadko, codziennej — tam, w zacisznych ustroniach „wsi (niegdyś) spokojnej, wsi wesołej", codziennie „praktykuje się" niszczycielski proceder, z jakiemiż częstokroć wyrafinowanemi metodami „bezwiednego" okrucieństwa.

Nie mówiąc już o nieobliczalnych szkodach wyrządzanych łowiectwu i przyrodzie przez doszczętne wyniszczanie z ubolewania godną „systematyką", rękoma „niewinnych aniołków" i podrastających „efebów" — całych pokoleń łowieckich objektów!



Franciszkowa hr. Pusłowska ze swym czternastakiem z rykowiska w kniejach Mianocickich.

Równolegle — jakiż to wyrabia się zaiste barbarzyński „światopogląd" już nietylko wskutek przyrodniczo-myśliwskiego tępienia, lecz poprostu sadystycznego wandalizmu.

Nauczywszy się zamęczać zajączki, sarenki i ptaszki — później, z karygodną łatwością zastosowuje się te same kryminalne zabiegi i do swych braci, „królów przyrody".

Atawistyczne zaczątki zła, potencjalnie drzemiące w każdej niemal duszy ludzkiej — kto wie czy uzewnętrzniłyby się wogóle, gdyby młodzież wiejska była należycie kierowaną — odpowiedniem uświadomieniem.

Ileż to bandyckich nawet skłonności podlega wyleczeniu naskutek zastosowania zbawiennych „rygorów" i „szkolenia" podczas pobytu w szeregach wojskowych naprzykład?

Ale zwykle ma to miejsce — już zapóźno — po wyczynach „terenowych" ze zwierzyną i dla łowiectwa zazwyczaj stanowi „musztardę po obiedzie".

Oczywiście, nie można wymagać od głupiego, nieświadomego dzieciaka „ludzkiego" postępowania z żywą istotą, jeśli się go o tem nigdy nie poucza.

Powiem więcej — jeśli się też nic nie czyni i nie pracuje w tym kierunku i nad psychiką jego rodziców i wogóle starszych, „mentalność" których, jako wyrosłych w tych samych warunkach „edukacyjnych", jest i musi być podobną.

Już słyszę replikę! — Ależ, przecie w naszych szkółkach wiejskich mamy niemało nauczycieli i nauczycielek „ideowych", którzy trudnią się rzetelnem „uświadomianiem" młodzieży.

Otóż, właśnie, że w tem cały sęk:

To, co się robi w tej dziedzinie, nie ma charakteru obowiązkowego.

Niezbędne są występy z „regulaminowemi" wykładami na przyrodniczo-łowieckie tematy, jako cyklem popularnych prelekcyj, w każdej gminie — przez *ad hoc* delegowanych referentów (audycje radjowe też niemałyby wpływ wywierały).

Winien być „usankcjonowanym" specjalny, że tak powiem „kodeks" karny — odnośnie nietylko nieletnich wandali-okrutników, ale także określający odpowiedzialność ich rodziców lub opiekunów, a nawet chlebodawców.

Naturalnie, bez określenia wymiaru kary „do...", jak to, niestety, widzimy w naszej ustawie łowieckiej.

Za określony wybryk — więzienie, czy grzywna taka a taka i... basta! Niemożliwością się staną wtenczas wszelkie „komentarze i koloratury", stosowane przez niektórych panów sędziów. Administracyjne „rygory" powinny być też znacznie rozszerzone w zastosowaniu.

Proszę mi wierzyć, że „zdrowym chłopskim rozumem"—nasz, zresztą poczciwy, kmiotek, nawet mości pan wiejski z waszecia (tembardziej kresowy) — fenomenalnie szybko „skapuje" całą praktyczną doniosłość takiego zarządzenia, nabierając „gruntowniejszego respektu" dla władzy i jej przedstawicieli. Napewno!

Natenczas sami swych pociech dopilnowywać będą — aż do bo lesnych „interwencyj" rodzicielskich włącznie.

Wiem — niemiłem to jest, ale cóż robić?

Naocznie widzimy, że przy całem po-rewolucyjnem „rozwydrzeniu" ludności — nasi sowieccy sąsiedzi, wprowadzając kary do „dwuletniego, ciężkiego więzienia" — za zabicie w czasie ochronnym kaczki, jednak „stwarzają" u siebie łowiecki ład i porządek.

Nie mówię o niemożliwem przy naszym ustroju, ślepem naśladownictwie, lecz, dalipan, zastanowić się warto — i to poważnie!

Do jakiego stopnia „konfreternia pastusza" wyniszcza zwierzostany, ogałaca przyrodę w postaci ptasząt przeróżnych — tych żywych jej uśmiechów — wie chyba najlepiej tylko myśliwy. Objekty łowne, jako „utylitarne", tembardziej budzą „pożądliwości".

Przecież taki skromny, cichutki pastuszek, z bukoliczną nieraz „fujarką", literalnie cały boży dzień, na brzuchu leżąc, lub włócząc się przy swem bydełku, z nudów poprostu musi zainteresować się otoczeniem.

Zazwyczaj chłopcy czy dziewczęta te, z natury istot, wyrosłych na „wolności", mają bardzo rozwinięty „zmysł spostrzegawczy". Każde z nich słyszy niemal, „jak trawa rośnie".

A cóż dopiero mówić o „obserwacjach" nad „zleciałą" z gniazda kuropatewką, cieciorką, kaczką, albo nad tylkoco urodzonemi, zaledwie czołgającemi się sarniętami i zajączkami!? Czuj duch, każde żyjące stworzenie przed młodym okrutnikiem!

Jeden rzut jego „polowego" oka i już — pisklęta, pełzające „leporydy", czy też smakowite jajka z pod wysiadującej samicy — są w jego rękach!

Jeśli są niejadalne — kilka godzin „zabawienia się" nimi systemem *„a la Torquemada"* — rozbicie „zasiedziałych" jajek i... szlus!

A gdy sam nie może się ich doszukać — zacny kundysik dzielnie mu w tem sekunduje.

Następują wieczorne, szerokie „naracje" w chałupie, czy kurnej chatynce poleskiej o dzisiejszych „wyczynach" — starszym.

— „Galanty chłopak z mego Antka — morową misę jajecznicy mamy na wieczór — a do misy z żurkiem na jutro dwie „starki" kuropatew na „sidełka" z gniazd uduszonych! — zawsze, wielka to pomoc, w dzisiejszej „ludzkiej biedzie".

— „Nu i hłuszycia (głuszyca) ważna buła — szczo mij Fed'ko prynis do „borscza" — wielmi „piekny" fajn chłopeć" — sentencjonalnie „wyjaśnia", machorkę kurząc, polesko-wołyński ojciec.

A jeśli pomyślimy, że w całej Rzeczypospolitej — jak długa i szeroka — są zjadane całe góry „jajecznic" takich!... Z rozlewów wiosennych Prypeci, czy innej Jasiołdy, ileż to czółen, „płaskodonek i dubic". przepełnionych jajkami akwatycznego ptactwa, do cichych przystani wiejskich „przyszwartowuje" z „konieczności": czy do „misy" czy do „borscza" — bynajmniej nie na handel, — gdyż obecnie to się... nie kalkuluje.

Dziwić się należy, że jeszcze mamy zwierzynę, że jeszcze ptaszęta boże po lasach śpiewem są rozmodlone.

Zawdzięczamy to myśliwym - hodowcom o żelaznej wytrwałości, poniekąd przyrodnikom. Cześć im!

Atoli, jeśli tak dalej pójdzie *crescendo*, to opustoszeją nasze bory, pola, mszarniki i lasy — (co już widzimy po paru latach na terenach, które przeszły do rąk banków lub spółek akcyjnych — „Lasopolów" przeróżnych). Nastąpi fatalne „finis venatoris".

I to w równej mierze jako rezultat praktyk kłusowniczych, wnykarskich, myśliwych „z pod ciemnej gwiazdy", a także zawdzięczając poczciwym pastuszkom — ich niszczycielskim zakusom i systematycznemu niepokojeniu zwierzyny przez nich, ich bydełko, oraz „konstelacje" Burków i Bukietów rozmaitych. Jaskrawiej jeszcze uwydatnia się smutny ten objaw na bezludziu ogromnych obszarów kresowych.

Więc — pomimo całej groteski wytworzonej sytuacji — pilnujmy i walczmy z... pastuchami słowem, a kto może — czynem.

Zwrócić się winni wszyscy myśliwi i przyrodnicy z gorącym apelem do Ministerstwa Oświecenia Publicznego i Wyznań Religijnych o wydanie w tej bolącej sprawie okólnika ustalającego przymusowe wykłady, uświadamiające ciemne rzesze młodych i starych.

W szkołach wiejskich specjalną uwagę należy zwrócić na systematyczne pouczania dzieci, a w zarządach gminnych — dorosłych.

Bez planowego sposobu działania nic się nie wskóra. Bez tego — będziemy mieć pastuchów takich, na jakich zasługujemy.

Najlepszą ilustracją całej doniosłości szkolnych pouczań — nietylko w „specyficznej" nieco kwestji łowieckiej i właściwego traktowania zwierząt wszelkich — mogą służyć znamienne słowa starego Moltkego, wygłoszone po zwycięskiej wojnie 1870—71 roku.

„Nie karabin Dreysego, ale ludowy nauczyciel niemiecki pokonał Francję".

Jeśli więc całokształt wychowawczy przyczynia się do triumfów militarnych nawet — tembardziej w zagadnieniach względnie tak małostkowych, jak cała sprawa „pastuchów" — jest do zastosowania. Atoli dla nas, myśliwych i przyrodników, jest to kwestja ogromnej wagi, a dla wytworzenia dobrego obywatela potrzebnym jest najpierw — „dobry człowiek".



Maciej ks. Radziwiłł z jeleniem, ubitym na rykowisku w Przysusze pp. Dembińskich, pow. Opoczno.

A także „dobry" — nie o wandalistycznych instynktach — pastuch i wogóle wyrostek wiejski, może być „wyprodukowanym" li tylko pod potężnym wpływem takiego ministerjalnego okólnika.

Bez tego wszelkie najlepsze poczynania i chęci pozostaną zawsze tylko pięknym i czczym frazesem.

Oby jak najprędzej sfery miarodajne w „czynu stal" uderzyły! Bo zaprawdę jest to sprawa stoprocentowej potrzeby i aktualności.

ADAM RZEWUSKI.

MÓJ PIERWSZY TRZNADEL.

(Humoreska).

Było to... Mniejsza o to, gdzie i kiedy. Gdyby chodziło tu nie o mnie i o trznadla, ale o kogoś z naszych znanych myśliwych i — powiedzmy — o lwa czy tygrysa — wtedy trzebaby podać szczegóły, dotyczące długości i szerokości geograficznej, pory roku, dnia czy nocy i cały szereg innych jeszcze danych. Na szczęście ścisłość taka i dokładność mnie w tej chwili nie obowiązuje — więc ograniczam się jedynie do stwierdzenia, że b y ł o t o... Było naprawdę.

Miałem wówczas lat dziewięć czy dziesięć. Nie czytałem jeszcze ani Weyssenhoffa, ani Zaborowskiego, ani Ejsmonda i nie rozumiałem znaczenia tak fascynujących słów, jak puszcza, knieja, soból i nawet... panna. Nie czytałem nietylko dlatego, że krąg moich zainteresowań czytelniczych był bardzo mały, a za to litery czytanych książek bardzo duże; ale i datego, że Weyssenhoffa prawie jeszcze w literaturze nie było (jak wiadomo, zaczął pisać stosunkowo w dość późnym wieku), że Zaborowski nie zajrzał jeszcze swym rozmiłowanym w przyrodzie wzrokiem w serce kniei, a Ejsmond wówczas bawił się nie strzelbą, ale dziecięcym smoczkiem. I pomimo takiej mojej ignorancji i całkowitego prawie nieuświadomienia w wielu rzeczach ludzkich-arcyludzkich — obudziła się we mnie znagła żyłka myśliwska.

Co na to wpłynęło? — nie wiem. Czy atawistyczne oddziaływanie najdalszych naszych, a wspólnych nam wszystkim przodków, którzy umieli nietylko ustanawiać rekordy skoków i biegów naprzełaj za zwierzyną, ale też brać się zwycięsko za bary z jakąś potworną (kto wie czy nie apokaliptyczną) be-

stją; czy był to może wpływ najbliższych i już moich osobistych przodków, dla których polowanie było jedną z najmilszych rozrywek i od których nasłuchałem się — jako przygodny i niebrany przez nikogo pod uwagę słuchacz — rozmaitych opowiadań, historyj i breweryj myśliwskich. Tego wszystkiego nie analizuję, tylko stwierdzam sam fakt obudzenia się we mnie żyłki myśliwskiej.

Strzelać, strzelać — za wszelką cenę strzelać!

Zaczęło się to podług dość pospolitego szablonu: blaszany pistolecik i różowe papierki kapiszonów. Było trochę huku, trochę mile drażniącego dziecinne nozdrza myśliwskie zapaszku, wiele gwałtu w kurniku, gdzie najchętniej urządzałem bezkrwawe polowania na kury kaczki i indyki — ale nie było trofeów myśliwskich. Cóż z tego, że kogut rozwrzeszczał się wniebogłosy i niezdarnie, łopocąc sztywnemi skrzydłami, usiłował przefrunąć przez wysoki parkan! Cóż z tego, że kaczki przewracały się jedna przez drugą w bezładnej, panicznej ucieczce! Cóż z tego, że napuszony indor głośnem bulgotaniem — niby echo — odpowiadał na każdy mój strzał!



Pokot rogaczy, ubitych w dobrach Slupskich, Macieja ks. Radziwiłła.

Samo strzelanie przestało mi już wystarczać. Zapragnąłem koniecznie i znowu za wszelką cenę ofiar — trofeów.

Bardzo często zdarza się w życiu, że prosty przypadek — niby jakiś *deus ex machina* — rozwiązuje najbardziej powikłane sytuacje. Taką sytuacją aż na tyle powikłaną, że doprowadzającą mnie do dziecinnych łez bezsilnej złości i rozpaczy, była dla mnie niemożliwość osiągnięcia zdobyczy myśliwskich. I przyszedł mi wtedy z pomocą ów dobry *deus ex machina*, przyjąwszy na się postać mego rówieśnika, wyćwiczonego znakomicie w sztuce strzelania z procy. Mój Boże! Czyż śniło się małemu Dawidowi, kiedy mierzył w łeb potężnego Goljata, że taką nieśmiertelną zyska sobie sławę i że stanie się umiłowaną postacią i wzorem dla takich, jak ja wówczas, miłośników sztuki myśliwskiej!

Od tej chwili proca stała się dla mnie wszystkiem. Ileż krzaków bzu w ogrodzie odczuło na swych gałęziach moje rozpędy łowieckie! Scyzoryk ciął na prawo i na lewo — byle jak najlepsze, jak najcelniejsze wystrugać widełki. Ile kłopotu i zmartwienia miał biedny szewc Lejzor, by dobrać odpowiedniej miękkości i odpowiedniego kształtu skórkę, ów zdradziecki schowek dla wyrzucanego z procy śmiercionośnego kamyka! Ile się musiał nadziwić i nakręcić rudą głową sklepikarz, zanim zrozumiał, że posiadanie na półce sklepowej zapasów gumy („extra-sort") jest jego najpierwszym i najważniejszym kupieckim obowiązkiem!

Przezwyciężanie trudności daje człowiekowi wiele satysfakcji. Toteż i ja, rozprawiwszy się zwycięsko z bzem, Lejzorem i sklepikarzem — chodziłem w dumnej glorji, przyciskając mocno ręką do lewej piersi (serce! serce!) ukrytą zazdrośnie w kieszeni marynarki procę. I chociaż swobodę ruchów utrudniały mi — i to dość dotkliwie — wypchane po brzegi kamykami obie kieszenie spodni — to przecież doznawałem uczucia triumfatora. Nie mogłem wówczas, nie znając zupełnie historji, a nawet nie wiedząc poprostu o jej istnieniu, porównać siebie z którąś z największych historycznych postaci; ale gdybym nawet wiedział, że był kiedyś, gdzieś, jakiś Cezar czy Napoleon — napewno za nic miałbym i jednego i drugiego wobec mego procowego triumfu.

Z procą nie rozstawałem się ani na chwilę — z nią kładłem się spać do łóżka, z nią wstawałem, z nią chodziłem, siedziałem, leżałem. Mam wrażenie, że pod tym względem przewyższyłem znacznie wszystkich najwyższych myśliwych świata: żaden z nich chyba nie otaczał takiem uczuciem bezgranicznej miłości swej broni, jak ja swoją własną, przez siebie samego zrobioną procę. Ale mieć procę — to jeszcze mało; trzeba umieć się z nią obchodzić i należycie używać. Trzeba więc było zacząć — jak to się dzisiaj mówi — zaprawę strzelecką.

Z początku każdy cel był dla mnie dobry i każdy pierwszy z brzegu kamień uważałem za nadający się do odpowiedzialnej roli pocisku. Toteż bardzo prędko oczyściłem z kamieni wszystkie ogrodowe aleje i ścieżki i musiałem przenieść się w poszukiwaniu amunicji na szosę, zwłaszcza na stojące wzdłuż niej „pryzmy". Bardzo prędko również poginęły z domu wszystkie próżne butelki, których szczątki znaleźć można było na każdym kroku w ogrodzie i na podwórzu, a niejeden sąsiad zachodził w głowę, zgadując, co może być przyczyną tak częstego tłuczenia się szyb w oknach. W moich ćwiczeniach w strzelaniu do celu nie było wprawdzie żadnego systemu, ale była za to niesłychana systematyczność, polegająca na wyrzucaniu z procy kamieni od rana do wieczora, codzień, nie wyłączając ani niedziel, ani nawet najbardziej uroczystych świąt. Niepogoda — oczywiście (żeby użyć stylu fotograficznego) — nie robiła różnicy w strzelaniu.

Po takiej wstępnej zaprawie aspiracje moje zaczęły sięgać dalej i głębiej. Z niewybrednego zbieracza wszelkich bez wyjątku kamieni stałem się uważnym taksatorem wartości strzelniczej pocisków, segregując je i dzieląc na kategorje odpowiednio do tej wartości. A równocześnie gruszki, jabłka, kasztany, liście na drzewach, puste butelki i szyby sąsiedzkie już mi nie wystarczały. Zapragnąłem teraz innych ofiar — ofiar prawdziwie łowieckich. Kurnik, w którym poprzednio odbywałem moje bezkrwawe manewry pistoletowe, teraz nadawałby się do moich celów znakomicie. Jednak względy natury domowej, a także niewątpliwie i instynkt samozachowawczy powstrzymywały mnie od wypróbowania celności mych strzałów na mieszkańcach kurnika. Przeniosłem tedy swe zainteresowania myśliwskie na wróble, tłumnie gromadzące się co wieczór na wielkim kasztanie.

I tu proszę naszych zasłużonych myśliwych o pobłażanie: niech wybaczą łaskawie tej nieetyczności dziecięcej, która nic sobie nie robiła z tego, że wypuszczony z procy kamień trafiał w napuszoną pierś śpiącego smacznie na kasztanie wróbla. Dziecięca żyłka myśliwska nie potrafiła wówczas rozróżnić subtelności etyki myśliwskiej: każda godzina dnia, każda pora roku, każda pozycja wróbla była uważana za dobrą i dozwoloną. Byle strzelać! Byle zbierać trofea! A istotnie zbierało się tego codziennie sporo — tak że nawet opłaciło się dusić moje ofiary

w śmietanie. Prędko wszakże uprzykrzyło mi się to dość monotonne polowanie na wróble. A przytem te szare bestje tak szybko przejrzały całą krwiożerczość moich instynktów — że, skorom się tylko pokazał na dworze, uciekały tak daleko, że o pewnym strzale nie mogło być mowy. Zapragnąłem tedy rozszerzyć zasięg moich łowieckich aspiracyj. Zmieniłem więc teren moich łowów, przeniósłszy się z ogrodu i podwórza na rynek, gdzie w porze zimowej żerowały bardzo licznie trznadle.

Na ornitologji — oczywiście — nie znałem się wówczas absolutnie. Nie wiedziałem, że trznadel *(Emberiza citrinella)* należy do ptaków wróblowatych z oddziału stożkodziobych i ma 17 cm. długości i 27 cm. rozpięcia skrzydeł; że z Cypru rocznie wysyła się 100 tys. beczułek tych ptaków zamarynowanych lub przechowywanych w tłuszczu i że stanowią one jeden z pierwszorzędnych przysmaków gastronomicznych we Francji i Włoszech. Nie wiedziałem o tem zupełnie, a przecież ciągnęło mię coś do trznadla nieprzeparcie. Może to żółte upierzenie głowy i spodu ciała, nadające mym przyszłym ofiarom posmaczku egzotyzmu, tak działało na mnie. Może drzemiący w każdej młodocianej piersi duch Robinsona zaczął się budzić we mnie. Może. Słowem — trznadel stał się celem mych nietylko marzeń, ale i pocisków z procy.

Jak wytrawny myśliwy, zacząłem systematyczne przygotowania do łowieckiej wyprawy. Trzeba było przedewszystkiem zbadać dokładnie teren, to znaczy wspomniany przed chwilą rynek. Badania te polegały na krążeniu po rynku w rozmaitych porach dnia i wypatrywaniu, gdzie najczęściej i najliczniej spotkać się można z upatrzoną zwierzyną. Po tygodniu obserwacji, podpatrywań i podsłuchów, przyszedłem do niezłomnego przekonania, że pora południowa jest dla polowania najlepszą, zaś dniem najodpowiedniejszym dla łowów jest każdy dzień targowy. W takie dnie zjeżdżały do miasta i rozlokowywały się tłumnie na rynku wozy wieśniaków wymoszczone obficie słomą. Ta słoma, nawóz koński i ziarna owsa nieopatrznie rozsypywane z torby, przywiązanej do łba końskiego — to było według mych spostrzeżeń najulubieńsze żerowisko trznadli.

Ustaliwszy w ten sposób czas polowania, przeszedłem do przygotowania zapasów amunicji i zorganizowania naganki. Wydało mi się, że kamienie, któremi posługiwałem się dotychczas, są pociskami niegodnemi trznadla i powinny być zastąpione przez inne. Po krótkich rozważaniach wybór mój padł na loftki. Zaopatrzenie się w tę nową amunicję było zadaniem daleko łatwiejszem (choć niepomiernie kosztowniejszem, ale przecież były to dawne, obce wszelkiemu kryzysowi czasy) od gromadzenia kamieni. Poprostu szło się do „żelaznego sklepu", mieszczącego się na tym samym rynku (a więc na terenie polowania — co za wygoda!), kupowało się za ileś tam groszy loftek — i spokój.

Po tych wszystkich czynnościach wstępnych zorganizowałem naganke z oddanych mi i pełnych dla mnie nabożnego szacunku za moją dotychczasową działalność łowiecką (wśród wróbli) rówieśników i w pewien pogodny dzień zimowy wyruszyłem na mój teren. Szliśmy przez ulice miasta na rynek z minami skromnemi i wielce niewinnemi, rozmawiając o rzeczach zgoła obojętnych, gdyż wiedziałem z doświadczenia z wróblami, że taka niewinna mina i pozorna obojętność są najlepszą maską, umożliwiającą podejście na strzał do upatrzonej ofiary. Ale choć pozornie byłem zupełnie opanowany — to przecież serce tłukło mi się w piersi niespokojnie, jakby chciało wyskoczyć i pogonić za trznadlem.

Na rynku naganka moja rozwinęła się w tyraljerę, ja zaś przekradałem się między wozami do upatrzonego stanowiska, którem była spora kupka nawozu, na której żerowały najspokojniej trznadle, niespodziewające się zupełnie krwawej rozprawy. Zadanie naganki polegało na spędzaniu tych ptaków ze wszystkich stron rynku właśnie ku tej kupce nawozu. Schowałem się przezornie za barczyste plecy jakiegoś wieśniaka i czekałem odpowiedniej chwili. Jakoż istotnie — bardzo szybko moi naganiacze napędzili na strzał całe stadko przyszłych moich ofiar. Sięgnąłem do kieszeni po amunicję i — zamarłem z przerażenia. Kieszeń była pusta. Przez niedostrzeżoną przezemnie dziurę wszystkie loftki wypadły z kieszeni prawdopodobnie jeszcze podczas podróży na rynek. Naganka zaniepokojona moją bezczynnością zbiegła się ze wszystkich stron ku mnie, a barczysty wieśniak — jakgdyby chcąc zamanifestować swoją dla mnie pogardę — odszedł od wozu i znikł za drzwiami szynku. Stałem skonfundowany, uważając ten epizod za zły o m e n.

Potem, nadrabiając nonszalancko miną i tłumacząc naganiaczom, że tak właśnie postępuje każdy dobry i wytrawny myśliwy, to znaczy nie „gorącuje się" i nie płoszy zwierzyny, by dać jej czas na oswojenie się z terenem — zaopatrzyłem się w „żelaznym sklepie" w nowy zapas amunicji i rozpoczęliśmy powtórnie łowieckie manewry. Za schron służyła mi tym razem zamiast pleców pijanego już pewnie wieśniaka drabina wozu; między jej szczeblami znakomicie mieściły się obie moje ręce i śmiercionośna broń — proca.

Wyczekałem chwilę i, upatrzywszy wśród stada trznadli największą sztukę — naciągnąłem z całych sił gumy. Lejzorowa skórka wyrzuciła ze swego zdradzieckiego ukrycia pocisk — loftkę. Chybiłem. Pocisk chlapnął w nawóz, który bryznął brudnemi kroplami dokoła, a stadko trznadli poderwało się nieco ku górze i natychmiast opadło na to samo miejsce i rozgospodarowało się w nawozie zpowrotem. Trochę zawstydzony, a bardziej jeszcze zły, „nabiłem" procę powtórnie. Tym razem strzał był celny— trafił trznadla w skrzydło. Postrzelony ptak szybko zbiegł na łapkach z kupki nawozu, a moi naganiacze, pilnie obserwujący przebieg polowania, puścili się za nim w pogoń. A ja... I ja również zacząłem biedz pędem, ale w kierunku domu. Bo stała się rzecz nieprzewidywana i niespotykana dotychczas w mojej praktyce łowieckiej.

Pocisk, którym zraniłem w skrzydło trznadla, odbił się widocznie o jakiś twardy przedmiot ukryty w kupce nawozu i rekoszetem trafił prosto w szybę w mieszkaniu organisty. Brzęk stłuczonego szkła zagłuszył mi całą radość myśliwską. Uciekałem co prędzej do domu, by na wypadek jakiejś w podświadomości przeczuwanej rozprawy módz się wykazać mojem a l i b i. Ale organista — to człowiek nie w ciemię bity; widział i moje łowieckie zabiegi, i mój niefortunny strzał, i moją ucieczkę. W pół godziny po tym wypadku ojciec mój czytał list (choć cytuję go z pamięci, ręczę za dokładność każdego słowa):

„Wielmożny Panie! Syn Wielmożnego Pana, godząc wróbla z procy, ugodził w moją szybę. Przeto proszę uprzejmie o wstawienie takowej".

Co było dalej — to już wszystko jedno. Minęło blisko pół wieku od tej mojej niefortunnej łowieckiej wyprawy na trznadle — a słowa organiścińskiego listu pamiętam jak najdokładniej do tej pory. Treść pierwszego listu miłosnego, pisanego do mnie przez piękną blondynkę, wywietrzała mi dawno z głowy, a listowna skarga organisty utkwiła i tkwi ciągle jeszcze jak żywa.

Czy przypadkiem nie będzie to pośrednim dowodem, że jednak — pomimo wszystko — najsilniejszemi i najtrwalszemi są wrażenia i przeżycia myśliwskie?...

ZYGM. MICHAŁOWSKI.

J A R Z Ą B E K.

(MONOGRAFJA PRZYRODNICZO-MYŚLIWSKA).

(Ciąg dalszy).

Mowa jarząbków.

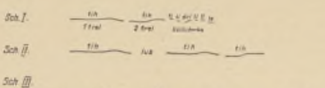
Głos jarząbka jest melodyjnym gwizdem, którego nutami wyrazić niepodobna, gdyż wchodzą weń tak nieznaczne różnice, jak jedna czwarta, a nawet jedna ósma tonu. Posługuję się tutaj schematami w połączeniu z systemem fonetycznego określania dźwięków. Nie pierwszy zresztą wpadłem na ten pomysł. Schematycznie głos jarząbka oznaczył Włodzimierz Korsak w swej pracy pod tytułem „Rok myśliwego", fonetycznie zaś P. Leyen w dziele pod tytułem „Polowanie na jarząbki z wabikiem".

Wysokość głosu starego koguta da się w przybliżeniu nutami określić, jako H na piątej dodanej górnej, a na schemacie wygląda tak: (Sch. I.).

Z powyższego schematu widać, że głos starego koguta da się podzielić na trzy części: I trel, II trel i końcówka. Wychylenie linji ku górze oznacza podniesienie się głosu o jedną czwartą do jednej ósmej tonu i odwrotnie. Pierwszy trel trwa około jednej do jednej i ćwierć sekundy, drugi trel trzy-czwarte do jednej sekundy, każdy zaś poszczególny ton końcówki jedną-piętnastą sekundy, poza średnim i ostatnim, które trwają około jednej-piątej, jednej-czwartej sekundy; przerwa pmiędzy poszczególnemi częściami trwa około jednej-czwartej do trzech-ósmych sekundy.

W niemowlęctwie obie płcie zwabiają się głosem, podobnym do głosu młodych indycząt, brzmiącym jak: tiw, tiw, tiw. W miarę, jak ptaki dorastają, ton tego gwizdu robi się coraz niższy, aż wreszcie około 15-go sierpnia przechodzi w dźwięk, który na schemacie wygląda tak: (Sch. II).

Gdy jarząbki poczną już opuszczać stadka, co przypada na pierwsze dnie września, młody kogut w przestankach jednej minuty wabi się, jak następuje: (Sch. III).

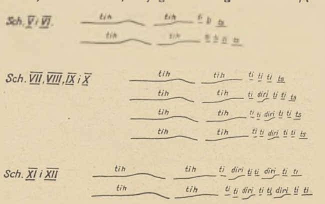


Mniejwięcej od 20-go września do 10-go października kogut wabi się, jak wskazałem przed chwilą, lub w ten sposób: (Sch. IV).

Poniżej podaję schematy śpiewu dorosłych samców, a więc w pierwszym roku życia: (Sch. V, VI).

W drugim i następnych latach życia: (Sch. VII, VIII, IX, X).

Wszystkie te warjanty głosów koguta zdarzają się



też bez drugiego trela, a po pierwszym trelu następuje bezpośrednio końcówka.

Bardzo stare koguty wabią się częstokroć jeszcze w ten sposób: (Sch. XI i XII).

Kogut częstokroć, gdy podwabiony przyleci i przysiądzie na gałązce, wydaje dźwięk nieco zbliżony do: tikurlu, jakby mówił „dzień dobry".

Wysokość głosu kury nutami da się kreślić w przybliżeniu, jako E na trzeciej dodanej górnej. Głos kury, w przeciwieństwie do głosu koguta, jest syczący i, szczególnie u osobników starych, dwojący się. Poszczególne trele śpiewu samicy są przeciąglejsze i, jak widać z nuty, wskazanej niżej, o nieco niższym tonie.

Młoda, tegoroczna kura, gdy jej głos już się załamie, wabi się bardzo podobnie do młodego koguta: (Sch. XIII).

Kura ma znacznie więcej warjantów śpiewu, niż kogut, wszystkich ich więc tu podać niepodobna. Podaję niżej kilka schematów wabu starej kury: (Sch. XIV, XV, XVI i XVII).



W ostatnim schemacie końcówka przedstawia głos, który kura wydaje lecąc. Zaczyna się on bardzo cicho i misternie, potem staje się głośniejszy, kończy się zaś nadzwyczaj szybko wibrującemi po sobie tonami.

Dorosłe i młode jarząbki, te ostatnie poczynając od pierwszych dni września, gdy są zdziwione lub przestraszone, wydają głos nieco zbliżony do szybko powtarzanej sylaby: pit, pit, pit. Wydają go jednak tylko, siedząc na ziemi lub drzewie, nigdy w locie. Samiec, gdy pędza kurę podczas zalotów miłosnych, wydaje szybko po sobie następujące dźwięki, coś jakby: czyki, czyki, czyki. Kura, zwabiając młode, częstokroć wydaje głos brzmiący jak: titurrru. Według niektórych jarząbkoznawców ma kura wydawać, gdy jest z młodemi, dźwięk alarmowy, w razie grożącego niebezpieczeństwa, brzmiący jak: ruk, ruk; sam jednak nie zdołałem tego sprawdzić. Zrywając się, wydaje jarząbek skrzydłami dźwięk, nieco zbliżony do odgłosu szybko przejeżdżającego po drewnianym moście wozu, tylko, naturalnie cichszy. Po tym dźwięku wprawne ucho może rozpoznać czy ptak wzleciał z ziemi na drzewo, czy zeń zleciał, czy też podbiega po ziemi; opisać jednak tego niepodobna, trzeba być wprawnym myśliwym, by się w tych rzeczach orjentować.

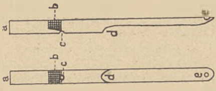
Polowanie na jarząbki.

a) z wabikiem, b) z psem, c) z naganką i d) na sidła.

a) Z wabikiem. Jak mówi sama nazwa tego polowania, niezbędnym jest tu wabik, czyli instrument, na którym naśladuje się głos jarząbka. Nie będę zajmował się tutaj opisem sposobu, w jaki robi się wabiki, gdyż jest to bezcelowe: według najszczegółowszego nawet opisu niepodobna jest zrobić wabika. By był dobry, musi on być wykonany przez wytrawnego specjalistę. Ograniczę się do krótkiego opisu tego instrumentu.

Wabiki robią się z mosiądzu, z kości, srebra, cyny,

a nawet z pióra gęsiego i bywają dwóch rodzajów: na samca i na samicę. Wabik, służący do naśladowania głosu koguta, musi mieć ton absolutnie czysty, bez szmerów; dla naśladowania głosu kury powinien wydawać głos syczący i o nieco niższym tonie. (Sch. XVIII).



Schemat XVIII.

Wabik na samca ma być zrobiony z kości 4 do 6 milimetrów średnicy i osiem do dziewięciu cm. długości. Najlepsze wyrabiają się z podwójnych, skrzydłowych kości kruka lub sowy, z grubszej z nich, te ostatnie wszakże, są bardzo kruche i delikatne, zato dają idealnie czysty głos. W odległości $2^1/_2$ do 3 cm. od końca (a), który wabiąc wkłada się do ust, jest przecięte t. zw. „okienko", to jest otwór okrągły lub półokrągły od $1^1/_2$ do 2 mm. średnicy (c). O $1^1/_2$ do 2 cm. od c robi się t. zw. „wycięcie": kość od tego miejsca aż do końca wabika jest wycięta do połowy, a w samym końcu wycięcia przeborowuje się otwór do zaczepienia sznurka. Pomiędzy a i c wpycha się trochę wosku (b), i w ten sposób się go przekłówa by wabik gwizdał.

Wabik, dający głos kury, wygląda podobnie, z tą różnicą, że jest grubszy, bo 6 — 7 mm. średnicy, okienko od wycięcia jest w nim cokolwiek bardziej oddalone, a samo okienko musi być większe. Najlepsze wabiki na kurę wyrabiają się z cyny i srebra. Ścianki ich powinny mieć grubość 0,1 do 0,2 mm.

Najintensywniej wabią się jarząbki jesienią pomiędzy 1 a 20 września i na wiosnę pomiędzy 20 marca a 10 kwietnia, przyczem najlepiej lubią pogodę jasną, gdy nie jest ani zbyt zimno, ani ciepło: najlepsza temperatura do łowów z wabikiem waha się pomiędzy 2—3 stopni mrozu i 9—10 stopni ciepła. Najlepiej jest, gdy wiatru wcale niema, a jeśli jest, to lepszy bywa wiatr północno - wschodni i wschodni. Jarząbki idą na wabik nawet przy najsilniejszym wietrze, lecz polowanie w bardzo wietrzną pogodę ma ten brak, że ptaka niezawsze się posłyszy.

Ważną rzeczą na tem polowaniu jest dokładna znajomość lasu. Szczególnie ma to znaczenie przy polowaniu we dwóch, gdy myśliwy, usłyszawszy odpowiedź jarząbka, zasiada z jednej strony, z drugiej zaś zachodzi naganiacz i napędza ptaka. Niezbyt to szlachetny rodzaj polowania, szerzej więc o nim mówić tu nie będę, przejdę natomiast do łowów z wabikiem w pojedynkę.

Wymagają one od myśliwego wielu zalet przyrodzonych, które nie każdy posiada. Przedewszystkiem niezbędny tu jest dobry, muzykalny słuch, by módz prawidłowo naśladować głos jarząbka. Pozatem potrzebna jest szybka orjentacja i pewien specjalny dar, który określić można tylko, jako wielkie zamiłowanie do samotnej włóczęgi po lasach. Chodzić trzeba z największą ostrożnością, by niepotrzebnie nie robić hałasu. Należy pamiętać, że najmniejsze uchybienie pod tym względem może narazić myśliwego na stratę jarząbka. Ptaki nie powinny nawet, że tak powiem, domyślać się obecności myśliwego.

Gdy myśliwy wejdzie już w rewiry, w których spodziewa się spotkać jarząbki, powinien obrać stanowisko. Najdogodniejszem jest takie miejsce, które znajduje się w gęstym, wysokopiennym, niepodszytym lesie. Jest to jednak tylko teorja, gdyż w praktyce często zabija się, stojąc i wabiąc w miejscu zgoła nieodpowiedniem. Jedno tylko prawidło można ustalić: nigdy nie należy stawać na samym brzegu lasu, lub polanki leśnej, a nawet rzadszego w lesie miejsca.

Gdy się już stanowisko obrało, można rozpocząć wabienie. Zawabić najlepiej dwa razy głosem młodego samczyka, z przerwami półtora-dwu minutowemi. Po trzech czterech minutach należy gwizdnąć raz głosem starej kury. Jeżeli po upływie kilku minut nie słyszało się odpowiedzi jarząbka, ani jego furknięcia, można, jeżeli dzieje się to rano, z czystem sumieniem iść dalej, gdyż wtenczas z powodu rosy jarząbek przybywa zawsze lotem. Po południu lepiej jest zawabić jeszcze kilka razy, bo teraz jarząbek częstokroć przybywa pieszo, z tego też powodu należy baczną uwagę zwracać na ziemię, nie jest także wskazanem obierać stanowisko wśród wysokiej trawy i paproci. W tym wypadku jarząbek łatwo może podejść pieszo pod same nogi strzelca i. spostrzegłszy go, wynieść się w miejsca bezpieczniejsze. Czasami, zoczywszy myśliwego, ptak zdradza swoją obecność pikaniem, który to głos jest tak dalece zwodniczy, że niepodobna według niego określić kierunku, w którym się jarząbek znajduje.

Na stanowisku, radzę, by strzelec znajdował się w pozycji stojącej, a nie siedział, a to dlatego, że stojąc ma się znacznie szersze pole obstrzału.

Jarząbek, gdy przyleci podwabiony, zwykł siadać na świerku, gdzie tak czasami potrafi się ukryć, że najbystrzejsze oko nie jest w stanie go wyśledzić. Należy zatem, gdy ptak tak siądzie, że go nie widać, stać nadal nieporuszenie, a niebawem zdradzi się on, przechadzając po gałęzi. Broń trzeba podnosić do oka powoli i ostrożnie, a nie raptem. Przy nagłem podniesieniu broni jarząbek najczęściej zrywa się, a wówczas zmusza do strzału w lot, który nie należy do łatwych. Wogóle należy uznać za prawidło, aby nie strzelać do jarząbka dalej, niż na 40 kroków śrutem Nr. 5 albo 6, nie cieńszym, gdyż w przeciwnym razie będzie się miało dużo postrzałków.

Zdaję sobie sprawę, że te kilka krótkich uwag, które tu o polowaniu na jarząbki z wabikiem skreśliłem, nie wyczerpują tematu.

Myśliwi, których ta kwestja specjalnie interesuje, mogą przeczytać dzieło P. Leyena p. t. „Polowanie na jarząbki z wabikiem", które wyczerpująco kwestję tę traktuje.

b) Z psem. Na północy praktykuje się polowanie na jarząbki ze specjalnemi psami, t. zw. „szczekaczami" (łajkami), lecz w braku ich może się odbywać ze zwykłym kundlem, wytresowanym w tej dziedzinie. Jarząbek, oszczekiwany przez psa, nie odlatuje, lecz z zainteresowaniem mu się przygląda, „pikając" przytem i przekrzywiając zgoła zabawnie głowę, jakby się z psem drażniąc. Polowanie polega na tem, że oszczekiwanego przez psa jarząbka podchodzi się i zwykle do siedzącego strzela. Niezbyt to szlachetny rodzaj łowów, lecz przy dobrym psie i obfitości jarząbków w danej okolicy może dać duże rezultaty.

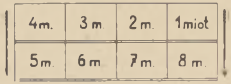
Najtrudniejszą rzeczą jest tu wybór i odpowiednie wyszkolenie psa; duże kundle nie są dobre, gdyż szczekają głośno i jarząbki więcej się ich boją. Najlepsze są małe pieski, które nie szczekają, lecz skomlą.

By psa do tego procederu wdrożyć, należy, zaopatrzywszy się zawczasu w wypchanego jarząbka i wziąwszy ze sobą chłopca, któryby dobrze łaził po drzewach, udać się do lasu. Tam odsyła się chłopca tak, by się skrył z oczu i każe się mu umieścić jarząbka niezbyt wysoko na gałęzi świerka. Gdy to już jest zrobione chłopiec musi odejść od drzewa, treser zaś podprowadza psa do bałwana, wskazuje go palcem i kundla nań szczuje. W miarę, jak pies zaczyna czynić postępy, każe się mu jarząbka odszukiwać. Po kilkunastu takich lekcjach pies zrozumie czego się od niego wymaga i będzie dobrze pełnił swą służbę.

c) Z naganką. Łowy te dają strzelcom pole do popisu, gdyż strzał do jarząbka w locie należy do

bardzo trudnych. Potęguje się jeszcze trudność strzału przez to, że strzelać trzeba najczęściej na wąskich duktach, jak naprzykład na drodze leśnej, linji oddziałowej i t. p., przeważnie w gąszczach. Pozatem nie każdy dobry strzelec w polu przejawia potrzebną tu szybkość orjentacji.

Mioty należy brać małe, około 150—250 kroków wszerz, i raczej szerokie a krótkie, niż wąskie i długie. Trzeba mioty rozplanować tak, jak to wskazuje niżej podany schemat: (Sch. XIX).



Schemat XIX.

Robi się to w tym celu, by jarząbki, które pójdą chybione, lub niestrzelane przez linję strzelców, były znów na nią wypędzone.

Naganka powinna posuwać się naprzód niezbyt szybko i nie czynić zbyt wiele hałasu, w przeciwnym bowiem razie jarząbki wzbijają się wysoko, siadają na czubkach drzew i siedzą tam spokojnie, nie zrywając się nawet przy największym krzyku. Najlepiej, gdy naganiacze idą, pogwizdując zcicha i dość mocno uderzają cienkiemi patyczkami po drzewach.

Myśliwy musi być stale gotowym do strzału, gdyż inaczej ujrzy tylko migającego przez linję ptaka i straci go bezpowrotnie.

Najważniejszym warunkiem powodzenia na tych łowach jest umiejętność prawidłowego rozplanowania miotów, co nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, a zdobywa się tylko przez wieloletnią praktykę.

Zbytecznem jest mówić, że łowy te powinny odbywać się tyko jesienią, bo wówczas można bez uszczerbku dla zwierzostanu strzelać zarówno koguty, jak kury, co przy szybkich strzałach wlot łacnie zdarzyć się może.

d) Sidła. Na północy Rosji, gdzie jarząbki występują masowo, stosowane jest do ich chwytania bardzo wiele różnorodnych sideł. Większość z nich dusi ptaka, z tego też powodu nie będę się niemi zajmował. Ograniczę się do opisu pułapki, która daje możność chwytania jarząbków żywcem. Składa się ona z bloczka, przytwierdzonego do niezbyt wysokiej gałęzi, sznurka o długości 20—25 m., oraz zielonej siatki, naciągniętej na okrągłą obręcz o średnicy 40—50 cm., zrobioną z cienkiego i elastycznego drutu. W środku tej obręczy przyczepia się do siatki kilka gron jarzębiny, a z drugiej strony przywiązuje się sznurek. (Sch. XX).



Schemat XX.

Używać tego sidła należy w sposób następujący. Myśliwy, zawiesiwszy bloczek na gałęzi, jak to wskazano wyżej, przewleka przezeń sznurek, następnie oddala się od pułapki na całą długość sznura i podciąga nim siatkę tak, by obręcz znajdowała się o trzydzieści — trzydzieści pięć cm. nad ziemią. Gdy to jest uskutecznione, wbija się kołek o średnicy 2—2½ cm., rozszczepiony na jednym końcu, i w to rozszczepienie wsadza się sznurek tak, by łatwo się dał wyrwać.

Po jakich 3—4 minutach ciszy należy zawabić. Jarząbek, gdy przyleci, ujrzy niebawem swój ulubiony przysmak — jarzębinę i, sfrunąwszy z drzewa na ziemię, podbiegnie pod siatkę. Na tę chwilę tylko czeka myśliwy: wyrywa sznurek z kołka, a uwolniona w ten sposób siatka spada na ptaka.

Łowić jarząbki tym sposobem lepiej jest w dnie pochmurne i niezbyt ciepłe, gdyż w taką pogodę ptaki te chętniej żerują.

a) Wrogowie jarząbka, b) ochrona i hodowla, c) choroby jarząbka, d) bastardy, e) albinosy, f) pożytek z jarząbka.

a) Wrogowie jarząbka. Jarząbek, ten niewinny i bezbronny ptak, ma niezliczone mnóstwo wrogów, od człowieka poczynając, a kończąc na wiewiórce, tej amatorce jaj ptasich. Wilk, ryś, lis, żbik, kuna leśna, zdziczały kot domowy, jastrząb-gołębiarz, krogulec — czyhają na dorosłe i młode jarząbki. Jaja jarząbków są ulubionym przysmakiem wiewiórek, łasic, gronostajów, borsuków i wszelkich wogóle drobnych szkodników leśnych. Żmije również chętnie wypijają jaja jarząbków, jak wogóle wszystkich ptaków, gnieżdżących się na ziemi. Wielkim wrogiem gniazd jarząbków jest jarząbek - kogut, który, znalazłszy gniazdo, tłucze jaja, jak już wspominałem. Pastuszkowie także, gdy znajdą gniazdo, rujnują je przez wrodzone niszczycielstwo, właściwe dzieciom. Największymi bezwzględnie wrogami jak młodych tak i starych jarząbków są: jastrząb-gołębiarz, krogulec i sowa uralska. Słyszałem z ust wiarogodnych, że jastrząb zapędził jarząbka w taki gąszcz, że wzięto go tam żywego, zaplątanego w gałęziach.

Po jastrzębiach następuje lis, kuna i zdziczały kot domowy. Kuna, gdy osiedli się w jakim ostępie, potrafi wyniszczyć jarząbki do nogi. Lecz pomimo wszystko najstraszniejszym ich wrogiem jest chłop kłusownik; ten, zaopatrzony w wabiki i rusznicę, nierzadko pamiętającą czasy Napoleona I, zabija je dziesiątkami.

b) Ochrona i hodowla. Jak już wspominałem, ochrona kogutów jarząbków wiosną jest wysoce nieracjonalna, a to z następujących powodów. Po pierwsze zdarza się, że samiec-jarząbek, gdy znajdzie gniazdo, tłucze znajdujące się w niem jaja. Znalazłem pewnego razu gniazdo zdewastowane przez koguta; jaja były najwyraźniej poprzedziobywane, a nie wypite, a jakiż ptak mógłby to uczynić? Słyszałem też od kilku doświadczonych myśliwych, zasługujących na wiarę, że złapali oni koguta na gorącym uczynku tłuczenia jaj.

Po drugie kura zawsze znajdzie sobie koguta, gdyż samców jest znacznie więcej, niż samic. Stosunek płci u jarząbków waha się pomiędzy 1 : 3, — 1 : 5 na korzyść kogutów. Wreszcie po trzecie kura wielkością i upierzeniem znacznie różni się od koguta, a więc omyłka nie może mieć miejsca.

Według mnie terminy ochronne dla jarząbków powinny być ustalone, jak następuje: koguty od 1-go czerwca do 15-go sierpnia, kury i młode zaś od 1-go lutego do 15-go sierpnia.

Jedynym bodaj i najważniejszym czynnikiem racjonalnej ochrony jarząbka jest tępienie jego wrogów i bezwzględny zakaz pasienia bydła w okresie lęgowym, w miejscowościach, gdzie jarząbki się trzymają. Co do hodowli jarząbków w miejscowościach, gdzie dawniej ich nie było, wcale nic pewnego nie da się powiedzieć; jednak zdaje mi się, że jest to rzecz zupełnie możliwa do przeprowadzenia, o ile naturalnie warunki miejscowe będą temu odpowiadały.

c) Choroby jarząbka. O chorobach jarząbka nic pewnego powiedzieć nie można, gdyż kwestja ta nie została jeszcze dokładnie zbadana. Przypuszczalnie zachodzą pośród nich wypadki śmierci z powodu chorób, lecz jakie to są choroby, a tembardziej jakie są ich objawy — niewiadomo.

d) Bastardy. Jarząbek miewa bastardy z pardwą i cietrzewiem, a w górach — z pardwą alpejską. Są to okazy bardzo rzadkie.

e) Albinosy. Albinosy zdarzają się pośród jarząbków, lecz są to okazy niezmiernie rzadkie. Słyszałem, że taki ptak został zabity w guberni smoleńskiej w roku 1921, lecz nie podaję tego, jako fakt.

f) Pożytek z jarząbka. Poza pięknem trofeum myśliwskiem jarząbek daje nam znakomite, białe mięso, o doskonałym, nieco gorzkawym smaku. Już starożytni bardzo je cenili, a nazwa łacińska *bonasia* pochodzi od *bona assa*, co znaczy: dobra pieczeń.

Pozatem ptak ten jest pożyteczny w leśnictwie, gdyż, grzebiąc w ziemi i liściach, zakopuje nasiona drzew.

*

Wszystko, co tutaj napisałem, zebrałem z dzieł rozmaitych autorów, przedmiot ten traktujących, jak i z własnych obserwacyj.

Pracę tę oddaję na sąd braci myśliwych, z prośbą o pobłażanie.

Warszawa, w czerwcu 1932 roku.

OTTON PEREŚWIET-SOŁTAN.

Z OŚCIĄ NA RYBY.

Będąc zamiłowanym myśliwym — nie mam w sobie żyłki rybackiej. Nie mam zwłaszcza nabożeństwa do sportu wędkarskiego. Daleki jestem coprawda od przyznawania bezwzględnej słuszności znanemu powiedzeniu rosyjskiemu o robaku i ...rybaku, jednak siedzenie z wędką nad wodą jest dla mnie najnudniejszem pod słońcem spędzaniem czasu. Rzecz zmienia się wszakże kardynalnie, gdy łowienie ryb przestaje być połowem handlowym lub nudnem wędkarstwem, a staje się — polowaniem t. j. kombinacją trudów łowieckich, celności oka, zręczności ramienia, trafności „strzału". Polowanie z ością na ryby jest dla mnie rodzajem łowów nie mniej szlachetnym niż ze strzelbą na zwierza, może nawet szlachetniejszym, gdyż przy polowaniu tego rodzaju precyzję i siłę strzału z broni palnej zastępuje wprawa i siła ramienia.

Z wielkiem więc zaciekawieniem przeczytałem artykuł p. Leona Starkiewicza „Polowanie z ością na ryby" (Łowiec Polski, Nr. 42 i 43 z r. 1932). Artykuł ten jest ujęty tak ciekawie i fachowo ,że żadnych własnych uwag do opisu Autora nie ośmieliłbym się dodać. Celem niniejszego szkicu jest podanie czytelnikom mało znanego sposobu polowania z ością na ryby, sposobu, o którym p. Starkiewicz nie wspomniał zapewne dlatego właśnie, że sposób ten jest b. mało znany.

Do bicia ryb ością — pisze p. Starkiewicz — potrzebne są nieodzownie trzy warunki: czysta woda, ciemna noc i brak wiatru. Do sposobu polowania z ością, który opiszę, konieczny jest jeden tylko warunek, lecz warunek tak rzadki, że czasem literalnie latami wyczekiwać trzeba nastania tego warunku. Osobiście tylko raz w życiu miałem szczęście brać udział w takiem polowaniu, a działo się to pod koniec r. 1916-go w majątku Sokorów pow. lepelskiego gub. witebskiej (obecnie za kordonem). Prócz niżej podpisanego uczestnikami tego polowania byli pp. Justyn Strumiłło (ziemianin z pod Wilna) i Władysław Czechowicz (przebywający obecnie w Brazylji). Szczegóły te podaję z obawy, by możliwi zawsze niedowiarkowie nie zarzucili mu myśliwskiej „nieścisłości".

Jedynym warunkiem nietylko powodzenia, lecz wogóle możliwości tego polowania jest zamarznięcie jeziora bez śniegu i bez fali — by powierzchnia wody zmieniła się w iście lustrzano-przejrzystą taflę, pod którą toń wodna na kilka metrów wgłąb, nieraz do dna samego, wygląda jak wnętrze olbrzymiego akwarjum. Jak wiadomo, lód jesienny odznacza się giętkością i nadzwyczajną wytrzymałością; rosyjskie (może białoruskie?) przysłowie mówi o nim „treszczu — nie puszczu". Istotnie, osobiście przekonałem się, że zaledwie 3-centymetrowa powłoka takiego lodu jesiennego utrzymywała gromadę ludzi, złożoną z 8-miu osób: rozlegał się wprawdzie groźny trzask, występowała woda, lecz lód „nie puszczał". Dla ludzi bardzo nerwowych tego rodzaju urozmaicenie polowania nie stanowi większej rozkoszy ,lecz ma się w tem o jedną emocję więcej...

Wyprawa na łowy z ością po lodzie składa się z dowolnej ilości myśliwych (gdyż można bić ością na zmianę), oraz z 4 pomocników. Pierwszy pomocnik niesie óść zapasową oraz siekierę, drugi — kaganiec w postaci siatki drucianej z płonącemi smolakami na długim kiju (kij z kagańcem zwano w Witebszczyźnie „kozą", zaś smolaki — „smogorem"), trzeci — worek z zapasowemi smolakami, czwarty — naczynie na rybę ubitą. Myśliwi mogą, rzecz prosta, podzielić się między sobą funkcjami pomocników — i wtedy skład wyprawy będzie mniejszy. Tu jednak opisuję taką ekspedycję, w jakiej brałem udział, a składała się ona z 8 osób: trzech myśliwych, jednej spektatorki i czterech pomocników.

Zaczęliśmy polowanie o godz. 6 po południu, gdy noc listopadowa zapanowała kompletnie. Najpierw udaliśmy się na małe kilkohektarowe jeziorko, obfitujące w szczupaki, okonie i karasie. Myśliwi kroczyli przodem. Pomocnik z kagańcem szedł nieco z boku, oświecając pole przed myśliwymi. Rzecz ciekawa, że największą trudnością tego rodzaju polowania jest wypatrzenie śpiącej i tkwiącej nieruchomo ryby. Ciemno-buro-zielony muł, jakieś gałęzie i patyki, trawa i wodorosty — wszystko to w chwiejnem świetle kagańca myli wzrok ogromnie. Gdy wreszcie wprawne oko rozpozna w nieruchomym, jakby na zielono zamulonym kiju — szczupaka, wówczas występuje pomocnik z siekierą i zaczyna bezpośrednio nad szczupakiem rąbać przerębel o średnicy tak dużej, by uderzenie ością mogło się odbyć swobodnie. Jak mogłem zaobserwować — na dziesięć upatrzonych ryb jakieś siedem, osiem nie reaguje zupełnie na rąbanie lodu, odbywające się nieraz na wysokości pół metra nad rybą. Wnioskuję z tego, że ryby nietylko zasypiają w nocy, lecz zasypiają niezwykle mocno, skoro je zazwyczaj nie straszy huk rąbanego lodu. A huk to musi być zaiste piekielny, a przytem

połączony z bezpośrednim wstrząsem wody... Czasem jednak ryba ocknie się i w paru rzutach skoczy naprzód; lecz i wówczas zatrzymuje się niedaleko, często w promieniu światła, a wtedy operację rąbania lodu powtarza się nanowo.

Gdy się już przerębel pomyślnie wykonało, wtedy rozpoczyna się właściwe polowanie t. j. uderzenie ością. Ten etap łowów jest o tyle łatwy, że się „strzela" nie z łódki, która nigdy nie jest idealnie nieruchomym i pewnym punktem oparcia, lecz z nieruchomego i wygodnego stanowiska. W takich warunkach nawet fuszer po paru rzutach zaczyna orjentować się w głębokości, oddaleniu i fizycznych prawach załamania się światła w wodzie.

Niełatwym etapem polowania jest wyciąganie wbitej na ość ryby. Nie wiem, czy pomocnicy-fachowcy w owem polowaniu, które opisuję, postępowali zupełnie prawidłowo, lecz prawie zawsze korzystali z zapasowej drugiej ości, przygważdżając nią rybę, że tak powiem, — dodatkowo, by przy podnoszeniu pierwszej ości zdobycz nie zerwała się i nie przepadła.

Po opolowaniu małego jeziorka przeszliśmy na wielkie jezioro Polo (około 10 kilometrów długości). Zamarzło ono tylko wzdłuż brzegów pasem 100—200 metrowej szerokości. Ta okoliczność omal nie była powodem tragicznego wypadku. Oto spektatorka łowów, trochę zmarznięta i trochę nastraszona ciągłym trzaskiem pękającego lodu, zapragnęła wrócić do domu, lecz w ciemnej nocy zmyliła kierunek i zamiast w stronę brzegu zaczęła iść ku odległej o kilkanaście kroków krawędzi lodu. Krzyki nasze zatrzymały ją prawie nad samą krawędzią...

O 9-ej wieczorem zakończyliśmy polowanie. Wynik trzygodzinnych łowów był niezmiernie obfity: upolowaliśmy około 1½ puda ryby t. j. około 24 kilogramów. A trzeba dodać, że wszyscy trzej myśliwi byli nowicjuszami i fuszerami, i że drugie tyle ryb uszło spudłowanych. Plon stanowiły wyłącznie szczupaki i okonie. Niektóre egzemplarze, zwłaszcza szczupaki, były bardzo duże.

P. Starkiewicz rozpoczyna i kończy swój ciekawy artykuł pochwałą łowów z ością i zachętą do zajęcia się tym sportem. Podzielam całkowicie Jego zdanie. Niestety jednak nasza ustawa o rybołóstwie zabrania łowienia ryb środkami raniącemi. Praktyka administracyjna poszła w tym kierunku, że zabijanie ryb przy pomocy ości uważa się za łowienie środkami raniącemi. Co miał na względzie ustawodawca, zabraniając łowów z ością — nie wiem. Może chodziło o zwalczanie kłusownictwa rybnego? Tu jednak, wbrew opinji p. Starkiewicza, twierdzę, że, jeżeli o Wschodzie Polski mowa, kłusownicy polują z ością nader rzadko. Co do względów humanitarnych, to sądzę, że duszenie ryb żywych w beczkach w czasie transportów jest gorszem ich dręczeniem, niż zranienie ością, zwłaszcza, że ryba dobrze trafiona może niemal błyskawicznie życie zakończyć. A zresztą czemże w takim razie jest skromny sport wędkarski, na który ustawa wyraźnie zezwala, jeśli nie dręczeniem ryb, nawet wyrafinowanem? — A może ustawodawca, mówiąc o „środkach raniących", ości nie miał wogóle na myśli i praktyka administracyjna poszła błędną drogą?

Sądzę, że propagatorzy łowów z ością powinni wywołać wyjaśnienie w tej sprawie ze strony czynnika najbardziej kompetentnego t. j. Ministerstwa Rolnictwa.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

Z WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

W dniu 6 listopada b. r. obchodził Wlkp. Związek Myśliwych uroczystość wręczenia przez Prezesa Związku p. ppłk. rez. K. Chłapowskiego w imieniu Prezesa P. Z. S. Ł. p. gen. Sosnkowskiego najwyższego odznaczenia łowieckiego „Złomu" panu Prezydentowi Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego, Józefowi Żychlińskiemu.

Na śniadaniu, wydanem przez p. Prezydenta Żychlińskiego w jego salonach, zebrało się poza najbliższą Jego rodziną małe grono znanych myśliwych Wielkopolski w osobach: pp. generałostwa Raszewskich, p. Wiceprezesa Ziemstwa Kredyt. gen. radcy Kazimierza Żychlińskiego z Twardowa, gen. radcy Ziemstwa, p. Dr. Zdzisława Skarżyńskiego z Tarzec, p. senatora prof. Ohanowicza z Poznania, oraz członków Wydziału Wykonawczego Wlkp. Zw. Myśliwych w osobach pp. Prezesa K. Chłapowskiego, H. Górskiego i Wł. Bronikowskiego.

Wręczając podczas śniadania odznakę „Złomu", wyraził p. Prezes Chłapowski w imieniu Wlkp. Związku swą radość, że danem mu było wręczyć tę najwyższą odznakę łowiecką tak czcigodnej osobie, jak panu Prezydentowi Żychlińskiemu. Piękne łowisko pana Prezydenta Żychlińskiego — Gorazdowo— zawsze cieszyło się opieką właściciela, a dzisiaj pielęgnowane jest przez Jego czcigodną Małżonkę i uroczą Córkę. Dalej wyraził p. Prezes Chłapowski swoje serdeczne podziękowanie panu Prezydentowi Żychlińskiemu za udzieloną Wlkp. Związkowi Myśl. w ostatnich dwóch latach pomoc finansową, która w wielkiej mierze pozwala mu przebyć obecny czas krytyczny.

Miła i podniosła ta uroczystość pozostanie w trwałej pamięci wszystkich uczestników. Ze swej strony zaś życzymy panu Prezydentowi Żychlińskiemu, ażeby jeszcze przez wiele lat danem Mu było roztaczać opiekę nad łowiectwem wielkopolskiem.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU GOSTYŃ.

Powiat gostyński (woj. poznańskie) o obszarze 60,097 ha, jest cały podzielony na obwody łowieckie, które wszystkie są zarejestrowane w starostwie. Kart łowieckich wydano 65; dokładny wykaz prowadzi starostwo; wykaz ten dostępny jest dla delegata.

W sprawach, związanych z łowiectwem, w udzielaniu kart łowieckich i t. d. starostwo zasięga opinji delegata.

Stan zwierzyny w powiecie jest następujący:

Stałą ostoję mają jelenie w 2 rewirach — stan ich wynosi około 180 do 200 sztuk, byków w tem, niestety, tylko 20%. Mały stosunkowo obszar powoduje przechodzenie jeleni do sąsiednich rewirów w przyległym powiecie, gdzie nie mają one stałej ostoi i gdzie strzelane są wszystkie byki bez wyboru. Znam wypadek, że jeden z pseudo-myśliwych ubił w jednym sezonie na obszarze 700 ha — 10 byków. W takich warunkach właściciele łowisk nie mają wprost możności prowadzenia racjonalnej hodowli. Wszystkie starania z mojej strony dla unormowania tych stosunków dotychczas nie odniosły jeszcze skutku.

Stan sarn jest ilościowo bardzo dobry, stosunek rogaczy do sarn — jak 1 do 5, poroża kozłów dobre, naogół strzela się zawiele młodych i niedojrzałych rogaczy. O celowości zamknięcia odstrzału rogaczy chwilowo jeszcze nie mogę wyrazić swego zdania, uważam tylko, że udzielenie odstrzału tak zwanego hodowlanego było wydane w zbyt dużej ilości i powinno być w roku następnym zupełnie wstrzymane, o ile cała akcja ma wykazać jakiś rezultat.

Stan zajęcy jest naogół dobry, kuropatw i bażantów — bardzo dobry. W powiecie znajdują się trzy bażantarnie, prowadzone wzorowo.

Kłusownictwo jest w powiecie gostyńskim bardzo rozpowszechnione. Uprawiają je przeważnie małorolni. Wymierzane kary są, niestety, stosunkowo niewielkie. W jednym z ostatnich wypadków kłusownika, pochwyconego przez właściciela polowania, którego przytem poważnie zranił, ukarano 11 miesiącami więzienia z zawieszeniem.

Terenów państwowych w powiecie niema. Poszczególni właściciele należą do Wielkopolskiego Związku Myśliwych w Poznaniu, w powiecie żadnego osobnego stowarzyszenia niema

JAN KURNATOWSKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Gostyń.

SPROSTOWANIE.

Ponieważ ostatnie zdanie, w odezwie do pp. delegatów powiatowych („Łowiec Polski" Nr. 33 z dn. 20 listopada r. b., str. 422), wskutek opuszczenia przez zecera kilku wyrazów, uległo zniekształceniu, spaczając sens, podajemy je poniżej we właściwem brzmieniu:

W sprawozdaniach tych przedstawić należy ogólną charakterystykę powiatu pod względem łowieckim (obszar, teren, zwierzostan), ilość i obszar zarejestrowanych obwodów łowieckich, liczbę myśliwych, poziom kultury łowieckiej, pracy hodowlanej, stan walki z przestępstwami łowieckiemi, omawiając również panujące w powiecie stosunki, oraz wyniki pracy organizacyjnej i ewentualne wnioski.



Epilog pięknego strzału. Fot. J. Kabziński.

POKAZ I KONKURS WYŻŁÓW DOWODNYCH POM. TOW. ŁOW.

Dążąc w pracy swej do podniesienia na Pomorzu stanu jakościowego psów myśliwskich, Pomorskie Towarzystwo Łowieckie w Toruniu zorganizowało doroczny pokaz i konkurs wyżłów dowodnych, które się odbyły w dniach 6. i 7. IX. 1933 r. na terenach leśnictwa państwowego Klosnowo.

Konkurs i pokaz rozpoczął się 6 października o godz. 10-tej przy sprzyjającej pogodzie. Udział przedstawicieli władz i zainteresowanej publiczności był stosunkowo bardzo liczny, zgromadziło się bowiem około 50 osób.

Pan szambelan Komierowski, prezes Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego i prezes Związku Właścicieli Lasów, zagaił konkurs przemówieniem, w którem powitał reprezentantów władz, w szczególności Dyrektora Lasów Państwowych w Toruniu, p. inż. Zagórskiego, dziękując równocześnie za trzy wartościowe nagrody, ofiarowane imieniem D. L. P. dla menerów najlepszych psów; następnie powitał inspektora hodowli Pomorskiej Izby Rolniczej, p. Dabińskiego i przybyłych gości, przeważnie leśników i ziemian; wreszcie podziękował p. nadleśniczemu państwowemu, inż. Jezierskiemu za udzielenie terenu i zachęcał przedewszystkiem leśników państwowych do hodowli wyżłów dowodnych, a p. Gumprechtowi z Chojnic za przedstawioną w roku ubiegłym sukę „Carę" wręczył srebrny medal Pomorskiej Izby Rolniczej.

Następnie kierownik imprezy, p. dr. J. Łukowicz, oznajmił zebranym, że w roku bieżącym założoną zostanie Pomorska Księga Rodowodowa wyżłów dowodnych i wyjaśnił warunki potrzebne do zapisania psów do tej księgi.

Do pokazu zgłoszono ogółem 13 wyżłów, w tem jednego setera irlandzkiego.

Jako sędziów poproszono pp. inspektora Dabińskiego, nadl. Dutkiewicza, Gumprechta, szambelana Komierowskiego, oraz Dr. J. Łukowicza.

Ocena na pokazie:

1) „Zbój", pies ur. 20.IV. 1932 r. szostkowłosy, bronzowy, biało nakrapiane łaty, (ojciec Treff, matka Juno), budowa dobra. Hodowca i treser, leśniczy państw. Stefan Orlikowski z Kniei. Nagroda: bronzowy medal Pomorskiej Izby Rolniczej.

2) „Herta". suka ur. w maju 1928 r., krótkowłosa, z domieszką angielskiej krwi, biała w bronzowe łaty, budowa niska, muskularna. Hodowca i treser, leśn. pryw. Józef Misiak z Komierowa.

3) „Tośka z Łowieckiego Dworu", suka ur. 23.IV. 1930 r., szorstkowłosa, jasno-bronzowa z jaśniejszemi łatami, budowa dobra, nieco drobna; suka w złej kondycji. Hodowca i treser, leśniczy państw. Ulryk Raszke.

4) „Tell", pies ur. w październiku 1931 r., krótkowłosy, bronzowy, nakrapiane łaty, (matka Herta, ojciec Tell II, brat Troka z Komierowa). Budowa bardzo dobra, proporcjonalna i silna. Właśc. i treser, pryw. leśn. rew. Hermann Papke z Komierówka; hodowca, leśn. pryw. J. Misiak z Komierowa. Nagroda: srebrny medal Pomorskiej Izby Rolniczej.

5) „Rex", pies ur. w lipcu 1931 r., krótkowłosy, bronzowy z jaśniejszą piersią, (ojciec Treff, matka Bella). Budowa silna, głowa prawidłowo wykształcona, zad nieco spadzisty. Właściciel, nadl. państw. Józef Sajdak z Giełdonu, treser, leśn. państw. Krzywoszyński.

6) „Gryfa", suka ur. w grudniu 1932 r., krótkowłosa. bronzowa, jaśniej nakrapiana, biała gwiazdka na czole. Budowa dobra, pierś głęboka. Właściciel i hodowca, Walter Otto z Kotomierza.



Komisja sędziów pracuje. Z konkursu i pokazu wyżłów dowodnych w Klosnowie.

7) „Cara v. Siegmundslust", ur. 1.I 1930 r., suka szorstkowłosa, ciemnobronzowa, dołem biało nakrapiana, biała gwiazdka na nosie, (ojciec Arco v. Auenheim, matka Flamme v. Bekum). Budowa dobra, proporcjonalna. Podane pod Nr. 8 i 9 psy są potomstwem Cary. 7-mio miesięczne psy te są bardzo dobrze zbudowane i zapowiadają się doskonale. Właściciel, Ulryk Gumprecht, Chojnice. Nagroda: medal złoty Pomorskiej Izby Rolniczej za hodowlę.

8) „Tell", pies ur. 6.II.1933 r., szorstkowołsy ciemnobronzowy, na nogach i pod brzuchem jasne plamy nakrapiane, (matka Cara v. Siegmundslust, ojciec Tarzan z Bukowego Wzgórza). Budowa bardzo dobra. Właściciel, Ulryk Gumprecht, Chojnice.

9) „Treff", pies ur. 6.II. 1933 r., szorstkowłosy, ciemnobronzowy, na nogach i pod brzuchem jasne nakrapiane plamy, (rodzice jak wyżej). Budowa beznaganna. Właściciel, Alojzy

Pruszak z Krojant. Nagroda: srebrny medal Pomorskiej Izby Rolniczej.

10) „Nurka", suka ur. 30.IV. 1930 r. krótkowłosa, bronzowa, biało nakrapiana (ojciec Greif v. Rubrtal, matka Zulejka z Łowieckiego Dworu). Budowa zgrabna, dobra matka. Właściciel, Bernard Skrzyński, Chojnice; hodowca, leśn. państw. Ulryk Raszke. Nagroda: list pochwalny Pom. Izby Rolniczej.

11) „Bekas", pies ur. 14.XI. 1924 r. krótkowłosy, bronzowy, biała pierś, białe nogi, lekko nakrapiane. Właściciel, leśn. pryw. Leon Górny, Wysoka.

12) „Senta", suka ur. w grudniu 1932 r., krótkowłosa, bronzowa, biało nakrapiana. Rasowa suka, dobrze zbudowana, o głębokiej piersi i ładnej głowie. Właściciel, Walter Otto z Kotomierza. Nagroda: bronzowy medal Pom. Izby Rolniczej.

13) „Harras", pies ur. w sierpniu 1932 r., typowy irlandzki setter o dobrej budowie. Właściciel i hodowca, Walter Otto z Kotomierza.

Wyniki konkursu:

Do konkursu stanęło 7 psów, z których 2 wycofano.

Sędziowie skonstatowali, że wszystkie psy pracowały bardzo dobrze, praca leśna wykazywała bardzo pomyślne rezultaty szczególnie za farbą, praca polna u wszystkich psów bardzo dobra. Najsłabsza w pracy polnej była karność. W całym konkursie stosunkowo najgorzej wypadła cietość, szczególnie dławienie, w której to konkurencji najlepsza ocena nie przekraczała 3-ch punktów.



Grupa sędziów i menerów na konkursie i pokazie wyżłów dowodnych w Klosnowie. (Pom. Tow. Łowieckie).

Rezultaty były następujące:

1) **Zbój.** Pierwszego tropu nie podjął, przypuszczalnie dlatego, że włóczka była robiona przed deszczem. Drugą włóczkę powtórną podjął i rozwinął do końca. Aport zgubionego drapieżnika, oraz zwierzyny użytecznej był dobry, praca wodna słaba, cietość słaba. Praca polna dobra, z wyjątkiem wytrzymania na strzał. Punktów 170; dyplom Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego na II. premję, III. nagroda Dyrekcji Lasów Państwowych (browning) i 25.— zł.

2) **Herta.** Praca leśna, szczególnie za farbą luzem, bardzo dobra, praca wodna i polna znakomita. Cietość tylko 3 punkty, prawdopodobnie dlatego, że Hertę przejechał dobę przed konkursem wóz, bo w konkursie roku 1931 suka ta okazywała znakomitą cietość. Punktów 197; dyplom na II. premję Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, I nagroda Dyrekcji Lasów Państwowych, (browning z przyborami) i 35.— zł.

3) **Tośka.** Praca leśna i wodna naogół dobra, praca polna bardzo dobra, cietość słaba. Punktów 185; dyplom na II. premję Pom. Tow. Łowieckiego, II. nagroda Dyr. Lasów Państw. (browning z przyborami) i 25.— zł.

4) **Tell.** Praca leśna naogół dobra, praca wodna bardzo dobra, praca polna dobra, cietość naogół słaba. Punktów 173; dyplom na II. premję Pom. Tow. Łowieckiego, IV. nagroda Pom. Tow. Łow. (książka o hodowli i tresurze wyżłów) i 15 zł.

5) **Rex.** Praca leśna niezbyt jeszcze wyrobiona, ponieważ pies był w ręku młodego menera, praca wodna bardzo dobra, słaba cietość; pies naogół dobrze się zapowiada, widoczne są jednak oznaki, że niedawno chory był na nosaciznę. Punktów 155, dyplom na III. premję Pom. Tow. Łow., V. nagroda Pom. Tow. Łow. (książka o hodowli i tresurze wyżłów).

ODZNAKI STRZELECKIE.

W 1932 r. 111,382 osoby zdobyły w Polsce odznakę strzelecką. Jest to i dużo i mało: dużo, jeśli się weźmie pod uwagę, jak mało osób interesuje się sportem strzeleckim, mało, jeśli się uwzględni, jaką wagę powinno się przywiązywać do strzelania.

W odznace strzeleckiej istnieją trzy klasy: bronzowa, srebrna, złota i — wyborowa; czyli niemal każdy może ją zdobyć, bo warunki dla osiągnięcia najniższej klasy są wprost dziecinne, a każdy, kto kiedykolwiek miał w ręku karabinek, może śmiało ubiegać się o nią. Nie należy jednak zadowolić się tak małemi wynikami. Choć dla wielu może wydać się całkiem wystarczającem posiadanie 3-ej klasy, to jednak, jak marnym jest żołnierz, który buławy marszałkowskiej nie nosi w chlebaku, tak marny to strzelec, któremu braknie nadziei na dojście do klasy wyborowej, ba, który nie marzy o zdobyciu tytułu mistrza Polski, lub o pobiciu przedtem ustalonego rekordu.

Każdy może zdobyć odznakę bronzową, każdy więc powinien ją mieć, ale kto już ma 3-ą klasę, z łatwością, bez dużego treningu, nakładu czasu i pieniędzy może pokusić się o — srebrną. Napewno na stu posiadaczy odznaki bronzowej, gdyby wszyscy stanęli do konkurencji wejścia do wyższej klasy bez specjalnego nawet przygotowania, połowa przynajmniej otrzymałaby ją i to, powtarzam, bez specjalnego treningu. Gdyby zaś te 100 osób popracowało nad tem choćby ze dwa tygodnie, to napewno 90 otrzymałoby 2-gą klasę.

Weźmy strzelania myśliwskie t. j. te, które nas najbardziej obchodzą, ale wstyd powiedzieć — są najbardziej zaniedbane i słabo zasilane ilością zawodników. Tu trzeba rozbić 150/300 talerzyków, czyli 50% — byłem na kilku zawodach i nie widziałem nikogo, nawet pierwszy raz do rzutków strzelającego, ktoby tego nie osiągnął.

W strzelaniu kulowem też nie jest osobliwie trudno osiągnąć wymagane minimum; strzelanie to, zupełnie nawet łatwe dla dobrych strzelców kulowych, daje możność dojścia bez trudu do klasy wyborowej.

Powinnibyśmy zatem więcej dbać o zdobywanie odznaki strzeleckiej, żeby wyraźnie zadokumentować, że niedarmo wprowadzono do rozkładu strzelań i strzelania myśliwskie t. j. te, w których powinnibyśmy zajmować pierwsze miejsca. Tymczasem tak nie jest i to w szczególności w kuli, bo w śrucie na czole stoją bezwzględnie myśliwi-cywile. W kuli na pierwsze miejsce wysuwają się wojskowi w służbie czynnej, t. j. ludzie mający wprawę głównie w strzelaniu tarczowem i z broni wojskowej. Jeśli np. weźmiemy wyniki z Poznania na zawodach o mistrzostwo Polski, to we wszystkich czterech konkurencjach kulowych pierwsze miejsce zajęli wojskowi.

W roku przyszłym powinien nastąpić koniec tej supremacji. Taksamo, jak w strzelaniu z karabinu wojskowego dziwnem byłoby, gdyby wojsko straciło pierwsze miejsce, będzie nieskładnie, jeśli myśliwi nie wysuną się na pierwsze miejsce w konkurencjach myśliwskich. Nie będzie to jednak łatwą sprawą, gdyż M. S. Wojsk. posiada niebylejakie przedstawicielstwo na zawodach! *)

Wracając do odznaki strzeleckiej, pragnę dokładnie zaznajomić czytelnika „Łowca Polskiego" z możnościami jej zdobycia. Przedewszystkiem jakie są wymagania do 3-ej klasy: jedynie obywatelstwo polskie i osiągnięcie odpowiedniej ilości punktów. Do otrzymania wyższej klasy trzeba, jak opiewa § 3 odznaki, należeć do jakiegokolwiek klubu strzeleckiego, lub sekcji strzeleckiej klubu sportowego, stowarzyszonego w jednym z Kierunkowych Związków Broni, (każde kółko łowieckie, należące do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich), lub do Związku Strzeleckiego.

Ważnym jest § 10. „Zawodnik nie posiadający jeszcze Odznaki Strzeleckiej, stając po raz pierwszy do zawodów o nią, może uzyskać **tylko Odznakę strzelca klasy 3-ej.** Odznakę wyższej klasy można uzyskać dopiero na jednych z następnych zawodów, nie wcześniej, jak po upływie 30 dni."

§ 14. „Posiadacz Odznaki zdobywa ją na własność. Prawo noszenia jej przysługuje mu jednak tylko w roku kalendarzo-

*) Jednak wśród wojskowych zawodników znajdują się również myśliwi. *(Przyp. red.)*.

wym, w którym ją zdobył i przez 5 miesięcy roku następnego (9 dla wyborowej kl.). Posiadacz Odznaki, który zdobył ją przez 3 lata z rzędu, lub 5 nie kolejnych, ma prawo noszenia Odznaki posiadanego stopnia bez obowiązku ponawiania strzelania."

Tyle co warto wiedzieć z regulaminu odznaki strzeleckiej, ale dodać muszę od siebie, że lepiej 3-cią klasę zdobyć w strzelaniach małokalibrowych (w Warszawie, co niedziela, na strzelnicy przy ul. Zielenieckiej), by, stając do zawodów myśliwskich, strzelać już o wyższą klasę. Mam nadzieję, że te parę słów zachęci szereg myśliwych do zdobycia odznaki, która jest także i odznaczeniem wojskowem, jakie wolno nosić na mundurze. Wstyd, by oficer lub podchorąży rezerwy nie miał tego odznaczenia, wstyd nawet zadowolnić się 3-cią klasą, dopiero warto zacząć mówić o srebrnej, a co dopiero o złotej lub wyborowej.

Obecnie mamy już jedenastu posiadaczy odznaki wyborowej w strzelaniach myśliwskich, cóż kiedy tylko 5-ciu z nich jest myśliwymi.

Na zakończenie podam ile osób w Polsce posiada odznaki według klas. Na ogólną ilość 111.382 odznaki bronzową posiada 91912 osób, srebrną 17202, złotą 2116, a wyborową tylko 152 (są to cyfry za rok 1932, zasięgnięte z Przeglądu Strzelecko-Łuczniczego).

Rozwój jednak jest ogromny, bo w roku 1931 odpowiednie cyfry przedstawiały się: 3-a klasa 26395, 2-a — 2936, 1-a — 320, a wyborowa tylko 42 odznaki.

Wreszcie pozwalam sobie wyrazić życzenie, by Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w roku przyszłym miał nie 5, lecz ze 100 posiadaczy Wyborowej Odznaki Strzeleckiej i byśmy stali się w konkurencjach myśliwskich organizacją najwyżej stojącą, a nie znajdującą się, przynajmniej jak dotąd, na szarym końcu klubów strzeleckich.

H. TYSZKIEWICZ.

HISTORJA JEDNEGO BOBRA.

W powiecie łuninieckim woj. poleskiego leżą dobra leśne Czuczewicze, których wschodnią granicę, około 40 klm. wynoszącą, stanowi rzeka Łań, dawnemi czasy obfitująca w liczne żeremia bobrowe, które jednak zostały doszczętnie wyniszczone podczas ostatniej zawieruchy wojennej.

W 1921 r. nowy podówczas administrator Czuczewicz, p. J. Baraj, zainteresowawszy się historją niedawnej bobrowej świetności na rzece Łani, w pewnym momencie stwierdził, że dziwnym zbiegiem okoliczności ocalał jeden egzemplarz tego rzadkiego dziś gryziona i zamieszkuje nadal brzeg Łani na terytorjum majątku, pędząc niesłety żywot samotny, niby pustelniczy. Jako zawołany myśliwy i miłośnik przyrody, co niewątpliwie najczęściej chodzi w parze, p. Baraj zaopiekował się żywo miłym samotnikiem i postanowił go strzedz od przygody.

Ochrona bobra już w samem założeniu miała szanse dosyć problematyczne, bowiem przeciwległy brzeg rzeki stanowi własność licznego szeregu drobnych właścicieli gruntów, pośród których wielu jest znanych ze swego „zamiłowania" kłusowników, łatwo więc można było spodziewać się zamachu na odkrytego bobra przez amatorów tak cennego futerka.

Toteż, jak należało przewidywać, los samotnika zakończył się tragicznie, bóbr ten bowiem uległ katastrofie, wywołanej ludzką pożądliwością, i znikł raz na zawsze około 20-go lutego 1928 r.

Zabicie bobra przez nieznanych sprawców nastąpiło prawdopodobnie w nocy z 18 na 19 lutego, a skradzenie już „gotowego" zwierzęcia — w trzy dni później. Stwierdzono bowiem, że tej nieszczęsnej nocy w żeremiu bobrowem gościło czterech ludzi, którzy napadli na jego gniazdo, wyrąbali je i całkowicie zniszczyli. O dziesięć kroków od gniazda rosła stara, gruba olcha z wielką dziuplą od samego pnia, łączącą się dołem z powierzchnią rzeki, a w dziupli tej nie zamarzała nigdy woda. Z jednej strony tej olchy został przez sprawców bobrowej tragedji wyrąbany duży otwór.

Z powyższych okoliczności można było domyślić się, że zwierzę zostało wypędzone z gniazda podczas snu, ratowało się jednak ucieczką i skryło się w dziupli olchy, a stamtąd pod lód rzeki. Ponieważ powierzchnia rzeki tworzyła wówczas tak zwany „powniec" (gruba powłoka lodowa przy pełnej wodzie), a nie było innych otworów w lodzie w najbliższem sąsiedztwie, bóbr, aby wynurzyć się z wody dla zaczerpnięcia powietrza, powrócił do tej samej dziupli, a wówczas zaczajony kłusownik, który te okoliczności ocenił i dobrze obliczył i uplanował szczegóły zamachu, musiał uderzeniem w głowę zwierzę ogłuszyć, prawdopodobnie ciężko ranić, albo na miejscu zabić.

Ślady kłusowników prowadziły po lodzie od miejsca napadu na lewy brzeg Łani, w kierunku położonej w pobliżu wioski, tam zataczały koło i następnie powracały znów na prawy brzeg rzeki i skierowywały się do wsi Gawrylczyce.

Szczegółowe obserwacje, prowadzone przez dwa dni następne, nie wykazały żadnych oznak istnienia bobra. Następnie jednak stwierdzono, że trzeciej nocy, licząc od pierwszego napadu, kłusownicy zjawili się tam powtórnie i tym razem porąbali lód na rzece obok olchy na znacznej przestrzeni, co ostatecznie dowodziło, że bóbr początkowo, chociaż może nawet ciężko ranny, uszedł zbrodniarzom, nurkując i kryjąc się ponownie pod lodem, skąd już nie wypłynął. Zapewne więc dlatego nastąpiły nowe poszukiwania i tym razem bóbr został wyłowiony już nieżywy, albo poprostu spłynął z prądem w dół rzeki.

Znając miejsce pochodzenia kłusowników, jasnem stało się już kim oni są z imienia i nazwiska, jednakże nie było żadnych absolutnie dowodów ich czynu, a wszelkie późniejsze starania o to nie dały pozytywnego wyniku. (Może należało zarządzić bardzo szczegółową rewizję w zabudowaniach podejrzanych — przyp. aut.). Ostatecznie cała ta niezmiernie przykra sprawa poszła jak wszystko na świecie w niepamięć pod wpływem ubiegającego czasu.

Na jesieni bieżącego roku, a więc po przeszło $5^1/_2$ latach od daty popełnienia przestępstwa przez kłusowników, w innych, choć również z kłusownictwem związanych sprawach, p. Baraj udał się do wsi Gawrylczyce, pragnąc w bezpośredniej rozmowie z jednym „zasłużonym" kłusownikiem zdobyć pewne wiadomości i wywnioskować prawdę. Zatrzymawszy się u miejscowego sklepikarza, kazał przywołać kłusownika, Andrzeja Letczenię, który stanowił iście typowy okaz włóczęgi i obdartusa: niepokaźnego wzrostu, brudny i w porozrywanem odzieniu, twarz posiada szarą i krzywą, „ozdobioną" ohydną, koźlą bródką. Jako prawdziwy „ochotnik", wyciągnięty na rozmowę myśliwską, lubi wiele blagować, chwaląc się niezwykłemi czynami, budując jednak te zazwyczaj ambitne i przesadzone opowiadania na prawdziwych epizodach swego cichego procederu. Wówczas częstokroć u typów tego gatunku wrodzona chytrość ustępuje mocy wspomnień i wrażeń, na myśl o których duma usypia ostrożność, w innych wypadkach posuniętą do artyzmu.

Rozmowa zeszła na olbrzymie według Letczenia ilości kun leśnych, jakie udało mu się ostatniej zimy zdobyć. Wówczas wtrącił się do rozmowy sklepikarz, niechętnie widać usposobiony do Letczenia, zarzucając mu z goryczą zdzierstwo przy spieniężaniu skórek kunich. Na tem tle, od słowa do słowa, wywiązał się spór, w toku którego sklepikarz nieoględnie rzucił, że wszakże i za bobra Letczenia wziął 120 złotych, na czem już nic niepodobna było więcej zarobić.

Naturalnie słowa te wystarczały, aby p. Baraj upewnił się dostatecznie co do sprawcy zabicia bobra, jakkolwiek Letczenia wykręcał się, jak mógł, tłomacząc, że nie on bobra napadał ani zabijał, lecz, dowiedziawszy się o takim fakcie, zaryzykował poszukiwania i poprostu umiejętnie go znalazł już nieżywego, pod lodem. Bądź co bądź mimowolne zeznanie sklepikarza wystarczyłoby zupełnie do wytoczenia Letczeni sprawy sądowej, gdyby nie... przedawnienie.

I tak oto ostatni bóbr, mieszkaniec Łani — zamiast być schwytanym i przewiezionym do innych, liczniejszych żeremi — stał się bezkarnie łupem zwyrodniałego Letczeni.

WUZET.

NOTATKI ORNITOLOGICZNE.

Posiadam skromną hodowlę bażantów, prowadząc ją na dziko na terenie dzikim, bagnistym, graniczącym bezpośrednio ze stawami rybnemi. Zaobserwowałem, że po połowach ryb bażanty wynoszą się w trzciny i trawy na osuszone dna stawów. Sekcje wola wykazały, że bażanty odżywiają się wtedy wyłącznie pędami skrzypów. Hodowane u mnie bażanty wyjątkowo trzymają się terenu, co świadczyłoby, że łowiska przy gospodarstwach rybnych nadają się specjalnie na hodowlę bażantów. Drobnostkę tę podaję tendencyjnie, gdyż nigdzie wzmianki o tym pokarmie bażantów nie spotkałem.

*

Jako delegat łowiecki, podjąłem się na wezwanie naszej stacji ornitologicznej obrączkowania ptaków. Podaję rezultaty z powiatu koneckiego. Otóż w roku ubiegłym zaobrączkowano przeszło sto ptaków. Pozatem ubito trzy czaple obrączkowane na stacji ornitologicznej w Różewie (Rositten) we Wsch. Prusach; ubito ze stada dzikich — gołębia znaczonego obrączką z godłem państwowem i numeracją, zapewne był to pocztowy, wojskowy gołąb; zabity został bocian obrączkowany w powiecie, również czapla obrączkowana w Trzebieniu, dobrach hr. Stanisława Zamoyskiego, przez profesora Wodzickiego; również złapano jaskółkę numerowaną w powiecie.

Bocian numerowany przezemnie zabity został w Berber, Angielsko-Egipskim Sudanie.

Zanotowano nalot orzechówek. Znaleziono postrzelonego bociana czarnego (Cigonia nigra), drugi okaz w najlepszem zdrowiu w moich oczach polował na narybek, naganiając karpiki na płytszą wodę skrzydłami.

B. JAKUBOWSKI,
delegat powiatowy na pow. Końskie.

KŁUSOWNICTWO.

(—jb.—) Na granicy powiatów chrzanowskiego (woj. krakowskie) i olkuskiego (woj. kieleckie), w lasach jaworznickich, gajowy Straś spotkał dwóch kłusowników, których wezwał do zatrzymania się.

Kłusownicy usiłowali stawiać czynny opór gajowemu, a następnie rzucili się do ucieczki. Wezwania nie pomogły, wobec czego gajowy Straś strzelił dwukrotnie, raniąc obydwu kłusowników w nogi.

Obydwu rannych kłusowników, Piotra i Antoniego Molendów, odwieziono do szpitala w Olkuszu, gdzie przy łóżkach ich czuwa policja.

*

(—jb.—) Dnia 8 listopada r. b., we wsi Przepusta gminy Wiskitno (pow. łódzki), kłusownik Stefan Wójcik naprawiał sobie strzelbę. Manipulacji tej przyglądał się przyjaciel Wójcika, Stefan Goss.

Przypadkowo Wójcik spowodował wystrzał. Nabój, naładowany grubym śrutem, trafił Gossa w policzek, a rozrywając się — uszkodził mu szczękę i oko.

W ciężkim stanie przewieziono Gossa do szpitala w Łodzi.

Wójcika, któremu tragiczny przypadek przeszkodził w uprawianiu niecnego procederu, policja aresztowała, wytaczając przeciwko niemu dochodzenie.

WŁAŚCICIELE ŁOWISK! UBEZPIECZAJCIE SWOJĄ STRAŻ ŁOWIECKĄ NA WYPADEK ŚMIERCI LUB KALECTWA W WALCE Z KŁUSOWNICTWEM — JEST TO WASZYM KARDYNALNYM OBOWIĄZKIEM.

(—jb.—) W nocy z dn. 5 na 6 listopada r. b., gajowy Jan Kwaśniewski z Radlina (pow. Rybnik woj. śląskie) w czasie patrolu nocnego wraz z praktykantem leśnym Joachimem Plutą z Pszowa — natknęli się na bandę kłusowników, polujących w świetle księżyca na bażanty.

Ponieważ na wezwanie gajowego kłusownicy nie zatrzymali się, funkcjonarjusze leśni strzelili na postrach. Kłusownicy wówczas rzucili się do ucieczki.

Podjęty natychmiast pościg wspólnie z policją nie dał wyniku.

Dalsze dopiero dochodzenie doprowadziło do Wodzisławia, gdzie w czasie rewizji u trzech kłusowników: Romana Reinharda, Wojciecha Tkacza i Wilhelma Rzeźnickiego — skonfiskowano 2 strzelby, przerobiony karabin wojskowy, 2 flowery, oraz szereg luf flowerowych.

*

(—jb.—) Donoszą nam z Borysławia, że niewykryci sprawcy podpalili na polanie leśnej w Kropiwniku Starym bróg siana, należący do gajowego Antoniego Kwaśnicy.

Gajowy Kwaśnica znany jest w całej okolicy, jako gorliwy tępiciel kłusownictwa i innych przestępstw łowieckich. Spalenie brogu siana było więc, jak zresztą wszelkie poszlaki na to wskazują, aktem zemsty ze strony kłusowników, a jednocześnie groźbą, że nie będą się oni wahali spalić nawet leśniczówki Kwaśnicy.

Dochodzenie policyjne w toku.

*

(—jb.—) Wyrokiem sądu okręgowego w Grudziądzu — za kłusownictwo, uprawiane w państwowych lasach laskowickich, Bolesław Sumiński skazany został na cztery miesiące więzienia.

UBEZPIECZENIE STRAŻNIKA ŁOWIECKIEGO OD NASTĘPSTW WYPADKÓW NA SUMĘ ZŁ. 3.000 NA WYPADEK ŚMIERCI ORAZ ZŁ. 4.500 NA WYPADEK STAŁEGO KALECTWA KOSZTUJE ROCZNIE TYLKO ZŁ. 31 GR. 20.

UBEZPIECZENIA PRZYJMUJE I INFORMACYJ UDZIELA SEKRETARJAT POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH, WARSZAWA, NOWY ŚWIAT NR. 35, TEL. NR. 607-98.

(—jb.—) W powiecie szamotulskim, w okolicy Klemensowa, leśniczy Müller spotkał w lesie kłusownika z bronią w ręku.

Trzykrotnego wezwania leśniczego do złożenia broni kłusownik nie usłuchał, rzucając się do ucieczki. Wówczas leśniczy Müller strzelił, raniąc uciekającego kłusownika, którym okazał się Wincenty Piechota ze wsi Stefanów.

Dochodzenie w tej sprawie prowadzi posterunek policji państwowej w Ostrorogu.

SZKOCKI TERRIER.

Ojczyzną szkockich terrierów jest Anglja, gdzie są bardzo popularne i wobec ich wysokich walorów, oraz oryginalnego wyglądu, w tym samym stopniu lubiane.

Poza Anglją zjawiły się dopiero w roku 1905, a dzięki ich zaletom spotyka się je już bardzo często w zachodniej Europie i Ameryce; u nas jednakowoż należą jeszcze do rzadkich okazów.

Zasadniczo jest szkocki terrier jamnikiem; służy on jednak z powodu swych nadzwyczajnych zalet węchowych przedewszystkiem jako pierwszorzędny tropowiec i pies gończy, przyczem odznacza się niebywałą wytrwałością. Gęsta, szorstka sierść nadaje mu dostateczną odporność przy wykonywaniu pracy podczas zimy i słoty. O jego kwalifikacjach łowieckich krążą w angielskich i niemieckich sferach myśliwskich bajeczne opowiadania.

Niemniej jednak nadaje się szkocki terrier na psa pokojowego, ponieważ jest bardzo sympatyczny, mądry i czujny, ma charakter wielce zgodny i nie występuje nigdy agresywnie, pomimo swego żywego usposobienia. Do obcych ludzi odnosi się z nieufnością, a do obcych psów z wielką odwagą; podrażniony, stać się może groźnym przeciwnikiem, gdyż posiada ostre zęby.

W obejściu jest nader przywiązany i miły, nie jest fałszywy, a w stosunku do dzieci jest on pełen szczerej przyjaźni. Nie jest też bojaźliwy i bezwzględnie nie dopuści nikogo obcego do mieszkania.

Wzorzec terriera szkockiego jest następujący:

1. Ogólna sylwetka: szkockiego terriera cechuje ostry, przenikający i żywy wyraz spojrzenia; budowę posiada krępą, o znacznej sile muskularnej, pomimo to robi wrażenie zgrabnego pieska.

2. Głowa: górna część czaszki stosunkowo długa, nieco zaokrąglona, pokryta krótką, twardą sierścią o długości maksymalnej 20 mm, pomiędzy oczyma występuje lekka bruzda czoła.

3. Pyszczek, posiadający oryginalną brodę, jest bardzo silny i zwęża się stopniowo ku nosowi, który jest zawsze zupełnie czarny; szczęki posiadają jednakową długość, a zgryz zębów jest zupełnie dokładny. Cechy ujemne: zakrótka albo zadługa szczęka dolna.

4. Oczy małe, dosyć głęboko osadzone i szeroko jedno od drugiego ustawione, świecące się, w pełni ognia mają kolor ciemnobrunatny albo czarny. Cechy ujemne: duże, albo jasne oczy.

5. Uszy małe, szpiczaste i stojące, aksamitnie owłosione. Cechy ujemne: duże, na końcach zaokrąglone, albo wiszące uszy, oraz długie owłosienie na nich.

6. Szyja krótka, silna i muskularna, mocno w ramionach osadzona.

7. Grzbiet krótki, elastyczny i mocny, klatka piersiowa w stosunku do wzrostu psa szeroka i głęboka, o silnych żebrach.

8 Ogon długości ca 18 cm., zlekka zakręcony, którego nie obcina się, jest junacko podniesiony.



Chieftain of Carnethie, 3090, szkocki terrier, wł.: A. Hinrichsen, Berlin.

9. Przednie i tylne nogi krótkie i dobrze pod tułowiem ustawione; przedramię nie powinno być nigdy na zewnątrz wykręcone, przednie nogi możliwie proste, kościec mocny, a mięśnie dobrze rozwinięte, stopy przednie są większe od tylnych, gęsto krótką sierścią obrośnięte.

10. Sierść: tułów oraz nogi pokryte niezbyt długą (ca 5 cm.), nadzwyczajnie twardą sierścią, pod którą znajduje się dolne owłosienie, które jest gęste i miękkie. Cechy ujemne: miękka, falista, albo barankowata sierść.

11. Maść koloru stalowego, żelazo-szarego, ciemnobrunatnego, szaro pręgowanego, zupełnie czarnego, piaskowego, lub też dojrzałej pszenicy. Białe plamy, nawet najmniejsze, są cechą ujemną i tylko na piersi w niklym rozmiarze tolerowane.

12. Wzrost i waga: Wzrost wynosi 23 do 30 cm, waga 7 do 9 kg — wyższa waga nie jest pożądana.

LEON LAMLA.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Inż. Leon Ossowski: „Choroby zwierzyny łownej". Toruń, 1933 r. Str. 51. Cena 2 zł. Wydano 1000 egzemplarzy.

Od czasu do czasu niektóre prowincjonalne towarzystwa łowieckie — poza normalną pracą organizacji polowań oraz dokarmiania zwierzyny — dają wysoce miły i budujący przykład szerszego zrozumienia sprawy łowieckiej przez puszczanie w świat pewnych wydawnictw o charakterze propagandowym i naukowym. Towarzystw takich jest jednakże niewiele, policzyć je można z przerwami na palcach dwóch rąk, i właśnie dlatego zasługują one na tem silniejsze podkreślenie, jako wdzięczne jaskółki na szarem niebie myśliwskiej pracy pisarskiej.

W r. 1922 Towarzystwo Racjonalnego Polowania w Łomży wydało propagandową powiastkę dla młodzieży wiejskiej pióra Kazimierza Antosiewicza p. t. „Sen Janka". Tę samą powiastkę nabyło Towarzystwo Ochrony Zwierzyny Łownej i Racjonalnego Polowania w Białymstoku, puszczając ją w odmiennej karcie okładkowej z własną firmą. Kieleckie Towarzystwo Prawidłowego Myśliwstwa wydało drukiem ulotkę konkursową E. Koczanowicza p. t. „Las i pole". W ubiegłym roku Koło Miłośników Łowiectwa w Warszawie wydało myśliwską monografję lisa pióra J. Dylewskiego. W rzędzie tych nielicznych i mniej lub więcej zasłużonych terenowych towarzystw łowieckich stanęło w obecnym kryzysowym roku Pomorskie Towarzystwo Łowieckie w Toruniu, przez wydanie drukiem pracowitej rozprawki naukowej inż. L. Ossowskiego p. t. „Choroby zwierzyny łownej".

Pracę tę *sui generis* jedyną w polskiej literaturze łowieckiej i omawiającą wyczerpująco poruszony temat, opatrzył przedmową nestor wielkopolskich myśliwych, założyciel „Łowca Wielkopolskiego" (1907—1914), Władysław Janta-Połczyński.

Autor, ceniony leśnik, współredaktor „Poznańsko-Pomorskich Wiadomości Łowieckich", podaje choroby jeleni, danieli, sarn, zajęcy, królików, dzików, bażantów i innych ptaków łownych, choroby zwierząt łownych z rodziny psów, kotów i kun, wreszcie w osobnym rozdziale omawia zatrucia zwierzyny.

Większość myśliwych nie orjentuje się zupełnie, jakim chorobom podlega zwierzyna, nie wie o jej męczarniach, wywołanych pasorzytami ze świata zwierzęcego, które wwiercają się głęboko w jej ciało. „Najdrobniejsze — pisze autor — pozornie nic nie znaczące draśnięcie kulą może być pośrednio powodem męczącej śmierci kozła lub jelenia. Powód wystarczający, aby unikać strzałów niepewnych".

Styl jasny. Praca mozolna, trwająca trzy i pół roku, napisana przez dwuletniego asystenta przy wydziale weterynaryjnym Uniwersytetu Poznańskiego, przejrzana nadto przed drukiem przez fachową powagę naukową, przynosi autorowi chlubę i uznanie, którego dowodem jest fakt, że 9/10 nakładu rozeszło się w ciągu niecałego miesiąca, tak, że aktualną staje się sprawa drugiego nakładu.

Ziembicki Witold: „Jan Ostroróg i jego Myślistwo z ogary". Lwów 1933. Str. 38.

Jest to odbitka cennej pracy, drukowanej w tym roku w numerach 12-14 „Łowca", upiększonej rycinami. Jan hr. Ostroróg dzięki swemu dziełku „Myślistwo z ogary" (Kraków 1608) zajął w literaturze łowieckiej nieśmiertelne miejsce, a dzieło jego z biegiem wieków doczekało się kilku wydań: Kraków 1618, Kraków 1649, Łowicz 1797. Łowickie to wydanie znane jest w trzech warjantach. Następny druk znajduje się w dziele, wydanem przez J. I. Kraszewskiego w Warszawie 1843 p. t. „Pomniki do historji obyczajów w Polsce w XVI i XVII wieku". W r. 1859 wydaje to dziełko Kazimierz J. Turowski.

W popularyzacji „Myślistwa z ogary" położyła też zasługi redakcja „Łowca Polskiego", która przed wojną pomiędzy tomami własnej bibljoteki łowieckiej, wydała też powyższe dziełko. I tu należy uwzględnić dwie odmiany, o których Szanowny Autor nie wspomina.

Pierwsza odmiana to ta, która powstała z ośmiu wkładek dołączanych do poszczególnych numerów „Łowca Polskiego", a posiadających (oprócz ósmej) na dole adnotację odpowiadającą danym numerom „Łowca Polskiego", jak „Dodatek do Nr-u 18 „Łowca Polskiego". Karta tytułowa tej odmiany podaje rok wydania 1901 i posiada zezwolenie cenzury z dnia „11 Awgusta 1901 goda".

Po wyjściu całego dziełka arkuszami, jako bezpłatnego dodatku do „Łowca Polskiego", użyto zatrzymany skład zecerski do druku drugiej odmiany, nieposiadającej już żadnej adnotacji numerów „Łowca Polskiego" na dole. Karta tytułowa ma rok 1902, a zezwolenie na druk nosi datę „3 diekabrja 1901 goda".

Przy końcu tej mozolnej pracy jest rejestracja, wykazująca, w czyjem posiadaniu znajdują się egzemplarze dawniejszych wydań „Myślistwa z ogary". Rzecz ta ma wielką wartość

i swe doniosłe znaczenie. Zestawienie to pragnę uzupełnić jednym jeszcze szczegółem, że w zbiorach moich oprócz wydania łowieckiego, oznaczonego przez Szanownego Autora „Ł. III", posiadam też wydanie „Ł. I", czego — w sposób dla mnie dziś niewytłomaczony, a z krzywdą dla mojego księgozbioru — nie podałem Szanownemu Autorowi, gdy się w tej sprawie do mnie zwrócił.

Ziembicki Witold: „Jeleń Dybowskiego", Lwów 1933. Str. 8. Jest to również odbitka „Łowca". Światowej sławy, znakomity przyrodnik i podróżnik polski, Benedykt Dybowski — między innemi — odbył w latach 1872—1875 wielką wyprawę naukową wzdłuż Arguni i Amuru. Jednym z cenniejszych rezultatów tej podróży było znalezienie i opisanie przez Dybowskiego nowego gatunku jelenia, znanego w nauce pod nazwiskiem jelenia Dybowskiego. O tym jeleniu Autor podaje kilka cennych szczegółów, oraz ciekawą reprodukcję karty prospektowej „Wszechświata" z podobizną jelenia Dybowskiego, wykonaną przez Jana Sztolcmana.

Ziembicki Witold: „Epizod z roku 1863". Str. 4. Jest to mały epizod ze wspomnień o ś. p. Aleksandrze Ubyszu, pisarzu myśliwskim, autorze „Charta" i „W borze i klasztorze". Temu myśliwemu - gawędziarzowi poświęcił prof. dr. Ziembicki obszerniejszą rozprawkę na łamach „Łowca" w r. 1928 — o czem pisałem w „Łowcu Polskim" z 1929 r. Nr. 11, str. 190.

Godnym pochwały i naśladowania jest fakt, że prof. dr. Ziembicki każdą swoją choćby najmniejszą rozprawkę wydaje też w formie fachowych odbitek, przeważnie w ilości 25 egz., dając w ten sposób możność korzystania z cennego materjału ludziom nauki bez udawania się do obszernych, a niezawsze dostępnych roczników „Łowca".

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

ROZMAITOŚCI.

O MARKI POCZTOWE Z ŻUBREM.

(—jwk—). Czytamy w ostatniem sprawozdaniu z działalności Państwowej Rady Ochrony Przyrody, że poczyniono starania w Ministerstwie Poczt i Telegrafów o wydanie nowej serji znaczków pocztowych z widokami polskich parków narodowych, a zwłaszcza świeżo powstałego parku narodowego w Pieninach.

Do tych starań przyłączył się Polski Oddział Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra, wysuwając własną propozycję. Mianowicie wśród serji marek pocztowych z rysunkami parków narodowych powinien się znaleźć także wizerunek żubra, co ma uzasadnienie w tem, że Białowieża, gdzie ten królewski zwierz przebywa, jest także parkiem narodowym, czyli że na tle jej fragmentów możnaby żubry umieścić z całem uprawnieniem.

Ameryka wydała w swoim czasie dla poparcia starań o odrodzenie ginącego bizona — kuzyna naszego żubra — dwa znaczki pocztowe z jego wizerunkiem, a nawet monetę obiegową z bizonem.

Niewątpliwie podobne emisje znaczków pocztowych przyczyniają się bardzo do propagandy polskiej zagranicą.

Oby starania te uwieńczone zostały pomyślnym wynikiem.

NOWOCZESNE „POLOWANIA".

(—zet.—) Prasa codzienna podała niedawno wiadomość (a prasa codzienna lubi sensacyjki!), że niejaki p. Wolko, zamieszkały w powiatowem mieście Kępnie (woj. poznańskie) zastrzelił na terenie obok plantacji miejskich 5 warchlaków wagi 40—50 kg. każdy, maciorę zaś tylko postrzelił i ta uszła.

Gdyby nie fotografja, przedstawiająca pogromcę całego stadka dzików obok trofeów, możnaby złożyć to na karb kaczki dziennikarskiej, jednak...

Niedawno pisano w dziennikach warszawskich o dziku, którego zabito na terenie lotniska na Okęciu. Lecz tam uczynili to niemyśliwi.

Był także w ostatnich czasach taki jeleń, który wszedł na teren przedmieścia Łodzi — goniony przez chłopów — ten uniknął jednak tragicznego końca... Wdała się w to policja.

Z tych krótkich wiadomości o dziwacznych „wędrówkach" zwierzyny i „odwiedzaniu" przez nią siedzib ludzkich, o czem słyszy się nie tak rzadko, należy wyciągnąć kilka wniosków.

...że zwierzyna zbyt często jest niepokojona w swych ostojach przez niepowolane jednostki, że korzystać z tego lubią, niestety, nietylko przygodni nemrodzi i kłusownicy, że wreszcie trudno zrozumieć w takich razach satysfakcję i tryumf.... myśliwych, jeśli z tego korzystają dla wyprawienia sobie tak niewybrednych łowów.

Co do p. Wolko, to, jakkolwiek nic mu formalnie zarzucić nie można z powodu ubicia pięciu warchlaków pod samem Kępnem, bowiem działo się to nie w czasie ochronnym, jednak zbyt daleko posunął swą „pasję myśliwską", strzelając jeszcze do lochy — bezwątpienia!

AUTENTYCZNE.

Rzecz dzieje się w jednej z górnośląskich kniej.

Polowanie z naganką. Myśliwi rozstawieni. Trąbka — naganka ruszyła. Padają tu i owdzie strzały.

Jeden z myśliwych strzelił do zająca. Kot zrulował, ale, trafiony w zad, rzuca się i, mając zdrowy przód, posuwa się wgłąb lasu. Myśliwy opuszcza swe stanowisko, biegnie w środek kniei i dobija zająca kolbą. Przy tej „myśliwskiej" czynności kolba łamie się w szyjce.

Po skończonym miocie niefortunny nemrod opowiada przygodę swoją sąsiadowi.

Sąsiad na to:

— Bo któż, dobijając zająca, uderza kolbą na płask! Trzeba uderzać na sztorc!

PODSŁUCHAŁ NAGANIACZ.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniu Św. Huberta, 3. 11. 1933 r. Wojskowe Koło Łowieckie w Kaliszu, tradycyjnym zwyczajem, urządziło polowanie na terenach własnych: Kościelna Wieś.

Pogoda niebardzo dopisała, a jednak rezultat był nieoczekiwany. Polowano w kotły. Myśliwych — 21.

Ubito zwierzyny: zajęcy 245 sztuk, bażantów 60, kuropatw 32, królików 8, bekasów 1.

Najwięcej zabili pp.: kpt. dypl. Ludwik Domoń i Józef Pietrzycki, prezes Pow. Tow. Praw. Myślistwa.

Za niezwykłą sprawność i sprężystość w prowadzeniu polowania należy się uznanie łowczemu, p. majorowi Koszakowskiemu.

— W Probołowicach (pow. pińczowski, woj. kieleckie), wł. p. Zygmunta Frycza, odbyło się dn. 3 listopada r. b. polowanie w 6 strzelb; padło: 245 zajęcy, 47 bażantów, 23 kuropatwy i 4 króliki, razem sztuk 319. Najwięcej na pokocie (85 sztuk) miał p. Andrzej Wesołowski. Drugie polownie urządzono w Probołowicach dn. 13 listopada r. b. W 11 strzelb zabito: 297 zajęcy, 46 kuropatw, 1 bażanta i 5 różnych, razem 349 sztuk. Najwięcej na rozkładzie miał p. Stanisław Linowski (47 sztuk).

W ciągu roku odstrzelono i zniszczono szkodników: psów — 71, kotów — 26, jastrzębi — 10, wron i kruków — 48, srok — 30, kun, łasic i tchórzów — 6, różnych — 4, ogółem 195 sztuk.

— Dnia 21 listopada b r. odbyło się w dobrach Maluszyn Stanisława hr. Potockiego polowanie, na którem zabito 1241 sztuk, w tem 783 zajęcy, 350 bażantów, 17 królików, 88 kuropatw, 2 słonki, 1 cietrzewia. W polowaniu brali udział pp.: Alexander mgr. Wielopolski, min. Jan Ciechanowski, Paweł hr.

Potocki, Jan Biedrzycki, Władysław hr. Tarnowski, Tadeusz Halpert, Władysław hr. Potocki, Hieronim Siemieński, Zygmunt hr. Wielopolski.

— Dnia 18 listopada r. b., przy pięknej pogodzie, odbyło się polowanie w Karnkowie wł. Jana i Stanisława Karnkowskich. W trzech kotłach, dwóch ławach leśnych i kilku krótkich pędzeniach — padło 765 sztuk, w czem 80 bażantów, 9 królików, reszta zające. — W polowaniu brali udział: pp. Włodzimierz i Filip Grodziccy, Mieczysław hr. Kwilecki, Alexander Płoski, Zdzisław Borzewski, Henryk bar. Maltzan, Karol i Antoni bar. Ike-Duninowscy, Stanisław Nałęcz, oraz Zdzisław i Włodzimierz Kiwerscy. Polowanie doskonale było prowadzone przez gospodarzy. Najwięcej na pokocie mieli pp. Alexander Płoski i Zdzisław Kiwerski, z których każdy zabił po 131 sztuk.

— W dniu 18 listopada r. b. odbyło się w Oleśnie (pow. włoszczowski) wł. p. Konrada Niemojewskiego polowanie w dwanaście strzelb, na którem w trzech sztrajfach i siedmiu pędzeniach padło 1579 sztuk — 714 zajęcy, 85 kogutów bażantów, 143 kuropatwy, 634 króliki i 3 lisy.

Udział w polowaniu wzięli (wymienieni kolejno według ilości zabitej zwierzyny) pp.: Tadeusz Siemieński, Paweł hr. Potocki, Władysław hr. Potocki, Janusz Zdziechowski, Maurycy hr. Potocki, Zygmunt hr. Wielopolski, Władysław hr. Tarnowski, Hieronim Siemieński, Jan Biedrzycki, Andrzej Deskur, Tomasz Łaszkiewicz, Edward Niemojewski.

Rezultaty polowań w ordynacji Myszkowskiej.

— W roku bieżącym odbyły się w ordynacji Myszkowskiej Aleksandra mrgr. Wielopolskiego, następujące polowania:

W Chrobrzu (pow. pińczowski) polowano dn. 14 stycznia z naganką, w 6 strzelb. Zabito: 27 zajęcy, 64 bażanty i 2 różne, razem 93 sztuki.

W Xiążu Wielkim (pow. miechowski), w kwietniu, na ciągach 3 myśliwych zabiło 11 słonek. W czasie od 16 maja do 7 września, na podjazdach w Xiążu Wielkim 7 myśliwych zabiło 28 kozłów, 1 królika i 2 różne. 7 września padło w Xiążu Wielkim 64 kuropatwy i 20 różnych.

13 i 14 września w Chrobrzu, na pędzeniach zabito: 2 króliki, 781 kuropatw i 5 różnych, razem 788 sztuk. Pogoda była pochmurna i wietrzna.

Na dwudniowem polowaniu w dniach 20 i 21 września w Xiążu Wielkim na pędzeniach polnych (pola własne i dzierżawione) podczas pogody wietrznej i dżdżystej, pierwszego dnia w 10 strzelb zabito 1027 kuropatw i 8 różnych, drugiego dnia w 9 strzelb — 598 kuropatw i 9 różnych.

21 października r. b. na trzygodzinnem polowaniu we Włochach (pow. pińczowski), w 5 myśliwych upolowano: 101 zajęcy, 1 królika, 1 bażanta i 2 różne, razem 105 sztuk na ławie leśnej.

W Xiążu Wielkim dn. 6 listopada na ławie leśnej w 6 strzelb zabito 4 lisy, 1267 zajęcy, 67 królików, 123 bażanty, 21 kuropatw, 3 słonki i 2 różne, razem 1487 sztuk. Następnego dnia urządzono ławę i pędzenia w lesie, oraz na polach własnych i dzierżawionych; w 6 strzelb zabito: 392 zające, 63 króliki, 520 bażantów, 52 kuropatwy i 2 różne, razem 1029 sztuk.

W dniach 13 i 14 listopada w Chrobrzu, pierwszego dnia w 8, drugiego — w 7 strzelb zabito: 1 lisa, 1396 zajęcy, 15 królików, 22 bażanty, 43 kuropatwy, 2 słonki i 3 różne, razem 1479.

Ogółem w roku bieżącym w ordynacji Myszkowskiej ubito: 28 kozłów, 5 lisów, 3180 zajęcy, 150 królików, 734 bażanty, 2586 kuropatw, 17 słonek i 50 różnych, razem sztuk 6750.

SPROSTOWANIE.

W ostatnim 33-cim numerze „Łowca Pol.", w rubryce „kronika myśliwska", w wiadomościach z polowania w Skrzydlowie wkradł się błąd zecerski — wydrukowano: „polowanie prowadził starszy gospodarz", zamiast, jak być powinno: „polowanie prowadził świetnie gospodarz".

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W grudniu polować wolno:

przez cały miesiąc na:

dziki, zbiki, lisy, kuny leśne (tumaki) i norki, wiewiórki, zające szaraki, zające bielaki, dzikie króliki, cietrzewie-koguty, jarząbki, pardwy, bażanty-koguty, dzikie indyki samce i samice, słonki, dzikie kaczory i kaczki, oraz inne ptactwo wodne i błotne, dzikie łabędzie, dzikie gęsi, dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły i paszkoty, ptaki krukowate i drapieżne.

od 16-go grudnia na:

niedźwiedzie i rysie.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

ŚCISŁY KOMITET REDAKCYJNY: Jerzy Dylewski, Walenty Garczyński i Władysław Zabiełło.

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsce dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. Nr. 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-9.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY

TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, tel. 639-36.

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: Urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.

WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

SKŁAD BRONI I FABRYKA AMUNICJI W WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17

poleca

znakomite bezdymne naboje śrutowe własnego wyrobu.

Ceny nabojów i dubeltówek zostały znacznie zniżone.

ODDZIAŁY:

POZNAŃ Gwarna 12 — LWÓW Pl. Marjacki 4 — WILNO Wileńska 10

„ŻYWE ZAJĄCE"

dla celów odświeżenia krwi

w kompletach po 4 sztuki (3 samice 1 samiec) sprzedaje Dyrekcja Lasów Państwowych w Poznaniu. Cena za 1 komplet wynosi 80 złotych wraz z opakowaniem loco stacja załadowcza.

Zamówienia uprasza się kierować pod adresem Dyrekcji Poznań, ul. Smolarska 18 (gmach hotelu Polonia).

KALENDARZ MYŚLIWSKI

NA ROK 1934

formatu kieszonkowego, oprawiony w płótno ze złoceniami — już w najbliższych dniach wyjdzie z druku. KALENDARZ ten zawierać będzie prawo łowieckie, szereg fachowych wskazówek hodowlanych i informacyj z zakresu łowiectwa, obowiązujące przepisy prawne, niezbędne dla myśliwych, tabele czasów ochronnych, opracowane na podstawie ostatnich rozporządzeń, oraz informacje organizacyjne, handlowe, wreszcie dane opracowane przez WŁODZIMIERZA KORSAKA o zwierzynie łownej w Polsce p. t.

„MYŚLISTWO POLSKIE".

Cena egzemplarza zł. 3.—

Aby uniknąć niewspółmiernie wysokiego kosztu zaliczenia pocztowego, wpłaty należy dokonać jednocześnie z zamówieniem Kalendarza, na konto P. K. O. Nr. 8,082 w kwocie zł. 3.— plus koszty przesyłki groszy 30.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, ul. Nowy-Świat Nr. 35 tel. 607-90.

OGŁOSZENIA DROBNE

Łowczy — leśniczy, dobrze obeznany z hodowlą bażantów, ślązak, kawaler, lat 28, sumienny energiczny, z ukończoną szkołą łowiecką i dobremi świadectwami, poszukuje posady od zaraz lub później. Wilhelm Jeziorowski. Przeworsk. Ordynacja.

Psy, 6-cio tygodniowe szczeniaki, rasowe (Setter laverack) do sprzedania po zł. 100.— Mokotowska 51/53 telefon 8-45-93 od 11-ej do 4-ej.

Żywą zwierzynę do odświeżania krwi. **Nasiona** i sadzonki roślin pastewnych na remizy. **Sadzonki** leśne dostarcza Zarząd Lasów XX Czartoryskich Nadleśnictwo **Babki** poczta **Krzesiny** Wielkopolska. Bezpłatne cenniki.

Żywe pubacze do polowania, jak również żywe głuszce i cietrzewie, a także wszelkie rodzaje żywej zwierzyny do łowu i odświeżania krwi dostarcza Eduard Mayer — Wildexport, Wiener Neustadt (Austrja).

Żywe żórawie, dropie, orły, sokoły, jak również żywe kuropatwy, bażanty i zające kupuje Eduard Mayer — Wildexport, Wiener Neustadt, (Austrja).

BACZNOŚĆ NA ADRES

WYPRAWA i farbowanie FUTER SYSTEMEM LIPSKIM

Farbuje: lisy na kolory; **szare,** bronz i alaska. **Tumaki, nurki, skunksy, sobole** przyciemnia **na kolory naturalne.** Przyjmuje również wszelkie roboty w zakres **kuśnierstwa wchodzące.**

PIERWSZA WARSZAWSKA

FARBIARNIA I WYPRAWA FUTER oraz PRACOWNIA KUŚNIERSKA

Warszawa, Długa № 10 w (podwórzu). **Telefon 11-32-39 Uwaga! Myśliwym 30% taniej.**

SOLIDNA ROBOTA

CHOROBY ZWIERZYNY ŁOWNEJ

Inż. Leon OSSOWSKI Przedmowa **Wł. Janta-Połczyńskiego**

Nakładem Pom. Tow. Łowieckiego w Toruniu.

Książka opisuje choroby zwierzyny łownej, oraz wskazuje sposoby ich zwalczania.

Praktyczny podręcznik dla myśliwych, leśników, hodowców, bażanlarników.

Cena przy wpłacie zgóry zł. 2.00 (łącznie z przesyłką). Za pobraniem pocztowem najmniejsza dopłata 1.40 zł. Wpłata na P. K. O. Nr. 211.988 Pom. Tow. Łow. w Toruniu, ul. Sienkiewicza 10, dokąd prosimy kierować zamówienia.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.